

# JEBŁO

## KSIĘGA SIÓDMA



Ignacy Drzazga

IGNACY DRZAZGA

# JEBŁO

Opowiadanie popelnione prozą swobodną



*Suto zaprawił oczojebnymi ilustrami*

GROT RESZTA-WARZONO

wersja ilustrowana 2024 08 20

# JEBŁO – Księga Siódma

## Spis treści

Wejście Smoka	3
Szczurzy Pan	9
Pożegnanie z Rozumem	16
Pielgrzymka	19
Majaki	28
Medytacje	35
Regeneracje	45
Pyszny Szachmat	49
Mroczny Kuracjusz	53
Smak Pierdolca	61
Re-degeneracja	79
Kosmos Spustoszony	93
Ballada o Staszku Ciulu	108
O Życiu	117
W Stronę Wieczności	122
Fatum w Dorożce	126
Ciała Niebieskie i Inne	139



© Oficyna Pożar 2024

## Wejście Smoka

Kwietniowym popołudniem pogodnym, w stojącym nieopodal cicho szemrzącego ruczaju domostwie na świat przyszła i z macicy wyszła samodzielnie, bez pomocy bab rodnych, a tym bardziej lekarzy, mała dziewczynka.



Zamiast – jak każdy inny niemowlak – szarpać się, krztusić i zachłystywać wodami płodowymi oraz zsiniałą twarzyczkę wykrzywiać w podkówkę, miast płakać, gardelko nadwyręzać i wydzierać się wniebogłoso, ona z waginy na ścieżaj rozwartej wyszła wyprostowana, krokiem dostojnym i sprężystym. Jej skóra jak mahoń, jak czarny

marmur, jak węgiel śląski w kolorze. Oczy ciemnobrązowe, nasiąknięte mądrością, spoglądały przed siebie miłościwie. Włosy kruczoczarne, długie, we wspaniałe poplątane kędziory. Hebanowa skóra pokrywała jej silne ciało, które skrywało duszę ze złota.

Gdy tylko na klepisku swe stopy postawiła, zaraz się z całej okolicy wszystkie koty zbiegły i część jej oddały. Chociaż był to kwiecień dopiero, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu z drzew spadać poczęły dojrzałe gruszki – miękkie, soczyste i słodkie w smaku. Także jabłonki w jakiś cudowny sposób obrodziły obficie i na trawę zrzuciły pachnące świeżością i zdrowiem owoce. Kiedy ojciec dziecka – Stefan Łańcuch – wybiegł na podwórze, to z rozpędu połamał sobie wysokie obcasy, wywrócił się i rozdarł rajtuzy na kolanach.



W ogóle jednak się tym nie przejął, chociaż były to buty robione na zamówienie przez samego Louboutina. Gdzieżby to martwić się obcasami, kiedy na świecie dzieją się cuda i dziwy! Oczom Stefana ukazał się bowiem widok niemożliwy do zrozumienia zwykłym rozumem ludzkim.

Czegóż jego oczy nie ujrzały! Jęczmień, pszenica, owies siewny i żyto z pola zniknęły i pojawiły się omłoczone, w ziarno zamienione oraz w worki popakowane i równiūsko w spichlerzu poukładane. W ziemniaczanych zagonach wilk z zającem, w komitywie dziwnej i z naturą sprzeczną, pomagali właśnie krowie wyleźć ze szkody. Czynieł to cierpliwie, przepelnieni współczuciem i zrozumieniem. Zając pokazywał, którędy ma ta krowa leżć, żeby kartofli nie deptać kopytami, tylko zmyślnie je omijać, a wilk łbem jej w tym czasie zad popychał naprzód i tym samym wspierał ją fizycznie. Po krótkim czasie dołączył do nich wróbel. Siadł nad uchem krowy i ćwierkał jej do ucha. Jak to ćwierkanie Stefan Łańcuch usłyszał, to zdębiał. Jakże mogło być możliwym przeto dla zwykłego transdżendera i rolnika rozumieć każde wróble ćwierknięcie? Bo ćwierkał wróbel do krowiego ucha, ćwierkał po ludzku i ćwierknięciami tymi dodawał jej otuchy.

Na niebie, błękitnym jak lazur Morza Andamańskiego, krążyło bocianów tyle, że aż słońce w cieniu skrzydeł się skryło. Piękne ich dzioby, podobne czerwonym igłom, przesywały obłoki i zdawały się tańcować z nimi, zaprzyjaźniać się. W rzeczy samej, krótko i zwięzłe mówiąc, atmosfera wszechobecnej miłości i spokoju roztaczała się nad okolicą i otulała ją, w niewidzialnych ramionach kołysała, śpiewała głosem szczygłów, kosów i skowronków. Ćwierkały też wilgi, dzwońce i mazurki, a nawet i puchacze odzywały się nieśmiało z od-dali. Nic dziwnego też, że wrażenie odniósł Stefan Łańcuch takie, iż niemożliwym by było dla zła, podłości, chciwości, zawiści – i innych umysłowych trucizn – pojawić się teraz tutaj i tym samym wszystko swym przybyciem spierdolić.

Matka Marysi – parająca się jasnowidztwem znachorka i tarocistka Bożena Jutrzenka, podczas snu nocy letniej otrzymała sen proroczy. Przybyła otóż do niej w tym śnie pewna dakini i obwieściła jej, że z niej właśnie – Bożeny Jutrzenki – narodzi się Królowa Wszechświata.



Szczęście niepojęte zstąpiło jak gdyby na Bożenę, jak tylko oczy swe otworzyła i ze snu się wybudziła. Postanowiła była też działać natychmiast, gdyż z natury była osobą aktywną. Zadzwoiła do swego przyjaciela, rolnika, zapaśnika i poety Stefana Łańcucha i poprosiła go o pomoc. Jako że oboje byli aseksualni od urodzenia, proces zapłodnienia dokonał się przez inseminację.

Dziewięć miesięcy ciąży okazało się dla rodziców najcudowniejszym okresem w ich życiu. Zdając sobie doskonale sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka w tym momencie spoczywała na jej ramionach, pani Bożena zawiesiła działalność wróżbiarsko-znachorską i wprowadziła się na gospodarstwo Łańcuchowe. Tam też zażywała spokoju, medytowała i spożywała suto posiłki domowej roboty, nie jakieś tam gówniane tejkeleje.

Stefan dwoił się i troił, żeby zapewnić matce swojego dziecka jak najdoskonalsze warunki życiowe. Wachlował jej twarz w gorące dni, w zimne okrywał ciepłym pledem, obmywał jej nogi wonnościami oraz donosił kompotu z truskawek. Wieczorami, odpoczywając przy blasku kominka, para przyjaciół prowadziła filozoficzne dysputy i grała w szachy.





Któregoś poranka, zaraz po składającym się ze świeżych owoców śniadaniu, z wnętrza Bożeny rozległ się anielsko brzmiący głos, obwieszczając swym rodzicom, że nastąpił oto długo oczekiwany moment porodu. Nogi matki rozchyliły się wtedy, a pomiędzy nich wypłynął pachnący różami nektar. Wtedy też, miast bólów porodowych, Bożena poczuła ekstazę i w jakiś niewytłumaczalny sposób zrozumiała, że jest jedynym świadkiem najważniejszego wydarzenia w historii całego wszechświata (Stefan przeoczył moment narodzin, jako że właśnie zmywał po śniadaniu).

Kiedy z rozpostartej niczym kwiat róży waginy wolnym krokiem, swobodnie się poruszając, wyszła czarnoskóra dziewczynka, matka rozpląkała się ze szczęścia, a ojciec zawrotów głowy dostał i z tego też powodu wybiegł przed chatę, aby świeżego powietrza w płuca nabrać. Jakże ogromnie zdziwiła się matka, gdy nowo narodzona przemówiła, sprawnie zdania składając, głosem cichym, lecz mocnym i mądrością nasiąkniętym. Z oczu dziecka promieniowała taka siła, że Bożena z miejsca na kolana padła i o błogosławieństwo poprosiła.

Zamieszkali więc razem – rodzice i dziecko, w izbie skromnej, lecz przestronnej, radując się swoim towarzystwem i przebywając w chwili obecnej razem, zamiast po świecie wyobrażeń się szlajać bez sensu. Któregoś dnia, zaraz po porannej medytacji, matka zapytała swą pociechę, czy nazwisko po ojcu, czy po matce chce zatrzymać, bo trzeba do metryki urodzenia coś wpisać. Okazało się wtedy, że Królowa Wszechświata Marysia Cmentarz narodziła się czterysta osiemdziesiąt kwadrylionów lat świetlnych temu i nazwisko zachowała panięskie, po pierwszej matce, Mariannie. Po chwili dodała jak gdyby w gniewie, że zjawiła się tu po to, żeby metryki urodzeń znieść, a Wszechświata bieg zakończyć.

Po sześciuset sześćdziesięciu sześciu godzinach wspólnego w izbie mieszkania, dokładnie co do ułamka sekundy, Królowa Wszechświata Marysia Cmentarz przyodziła spodnie bojówki, w kwiaty haftowany flyers i pancerne trampki, związała włosy jedwabną wstążką, a

za pas wsadziła siekiere. Dopełniło się bowiem przeznaczenie, zapłonęły pochodnie Nowego, a Stare zawyło z rozpaczy. W stopy matkę Bożenę ucałowała, ojcu podarowała szczyryk z sześcioma ostrzami, osiodłała konia i wyruszyła na podbój kosmosu.



## Szczurzy Pan

Powróćmy teraz na chwilę do Piekła Narodowego i przyjrzyjmy się temu, co się właśnie tam odpiędało. Wala się na naszych oczach przed chwilą krótką zaledwie ku chwale Mirosławy Potylicy wzniesione kościoły. Pożoga na horyzoncie jaśnieje żałobnym blaskiem,

szczurze zwycięstwo bez słów niepotrzebnych obwieszczając.

Obywatele Piekła Narodowego uciekają w popłochu, próbują ratować swe dusze nieśmiertelne i przed zagładą je ochronić. Niestety, na ich nieszczęście, próby te biorą w łeb, a dusze nieśmiertelne zamieniają się w strzępy mięsne. Jakże strasznym widokiem jest upadające imperium! Jego ulice, wczoraj jeszcze piękne i zadbane (wedle standardów narodowopiekielnych), dzisiaj wypełniają jęki i błagalne skowyty, a w powietrzu czuć smród pierdów przerażenia.

Niczym niszczący wszelkie przejawy człowieczeństwa walec, rozgrzane do czerwoności ostrze gilotyny, antyludzka piącha, żywe tornado gryzoni-olbrzymów przebija Piekło Narodowe na wylot, przerabia je na wióry.



Z piekielnej kuchni na powitanie szkurzej inwazji wychodzi Święty Wawrzyniec Szpadel Pierwszy. Niby krokiem spokojnym i nieśpiesznym, ale widać gołym okiem, że mu przekłeta kapusta ciutkę w oświeceniu namieszała. Z lica jego wciąż promieniowało nadludzkim światłem, tyle tylko, że zamiast wytchnienie cierpiącym duszom przynosić, karmić pocieszeniem i dodawać otuchy, to powodowało ślepotę, zamieniając gałki oczne w proch, a serce w przypalony gulasz.

Mocny też się zrobił z wyglądu nasz Wawrzyniec, Święty Szpadel. W barach rozrośnięty, dwa cyce potężne, plecy jak stół do ping-ponga szerokie, wyrzeźbione bez cienia tłuszczu bicepsy, tricepsy i kwadricepsy, a piąchy twarde jak skała.



Twarz poważna, dostojna, lecz zarazem posepna, jakby coś ją martwiło, w życiu przeszkadzało, pewnego rodzaju utrapienie lub zgryzota. Mądra to była twarz, tylko mądra inaczej. Z mądrością taką lepiej nie zadzierać i nie żartować również, gdyż na żartach się ona nie zna.

Jak on z tej kuchni nie wyjdzie, razem z dachem – bo drzwi za małe w rozmiarach się zrobiły dla niego – wprost w sam środek szczurzej defilady, i nie stanie w szerokim rozkroku pośród szczęściem upojonych gryzoni, które to właśnie przed chwilą całe Piekło Narodowe w drobny mak rozjebały, łącznie z Borutą Waciakiem na czele.

W tym samym czasie Matka Ewolucja zasiada do stołu kreślarskiego i za pomocą szeregu linijek, ekierek i cyrkli wykreśla człowieka ze swoich planów. Nadchodzi czas wielkich zmian. Czas szczurzej dominacji i człowieczego końca.



O czym myśli Święty Wawrzyniec Szpadel Pierwszy, kiedy tak stoi nieruchomo, otoczony przez miliony ociekających ludzką krwią szcurów? Być może w ogóle nie myśli, tylko kontempluje rzeczywistość? Jest przecież oświecony i to w dodatku nie byle jak, tylko na modłę opętańczą, nabuzowany wściekłą kapustą, skory do czynu, do dokonywania sądów sprawiedliwych.

W zasadzie sam rdzeń jego natury nie zmienił się aż tak bardzo – wcześniej za cel najwyższy stawiał dobro wszystkich czujących istot, teraz zaś najważniejsze dla niego było, aby być człowiekiem prawym.

Problem jednak zasadał się na tym, że trudno zachować trzeźwość umysłu i pozostać emocjonalnie neutralnym w momencie, kiedy pod nogami pętają się jakieś szcury. Sam anioł-archanioł straciłby nad sobą panowanie i miecz płonący w garść chwycił, a co dopiero jakiś Wawrzyniec Szpadel z robotniczej próbówki!

Zatruta kapuścianym jadem energia Chi zawrzała i popłynęła na takiej prędkości, że aż w gwiazdozbiorze Andromedy odnotowano wtenczas silne drgania, zawirowania i gniewne rżenia. Gdy tylko kapuściana Chi jebła z Wawrzyńcowych oczu, to pierwsza doborowa kompania szcurzych strzelców padła na kolana i tłuc rozpoczęła łbami o brukówkę.

Dziesięć sekund wystarczyło w zupełności, by szcurre głowy roz-tłukły się na miazgę. Dopiero jak Wawrzyniec przymknął lekko oczy i uspokoił rozszalałą Chi, sytuacja poprawiła się znacznie. Szcurre co prawda dalej padały na kolana, ale przestały przynajmniej o bruk łomotać i roztrzaskiwać sobie czaszki. Nieodgadnione są najgłębsze zakamarki szcurzej psychiki, szczególnie kiedy wkrada się w nią oświecona klątwa.

Niedawno jeszcze militarnie nie do zatrzymania, połowę ludzkiego świata zawojowały i specjalnie się przy tym nie zmęczyły. Bez strachu i zmartwień, dobro szcurre szerząc za pomocą śmiercionośnych

haubic, łańcuchowych mieczy, dział samobieźnych i rozpylających wąglík dronów – by wymienić te najważniejsze – teraz zrobiły się uległe, pokorne, zupełnie jakby je Wawrzyniec zdołał w jakiś sposób oswoić.

Niby człowieka wygrzyź z powierzchni ziemi zapragnęły, niby usunąć go w ciemny kąt grobowy postanowiły, a tu nagle śmierteczność Chi z mózgow im zrobiła jajecznicę ze skwarkami.

Gdzież podziały się plany wzniosłe, rozpisane przez szczurzych ministrów? Te o zmodyfikowaniu ziemi, żeby mogła szczurom i tylko szczurom służyć jako przestrzeń życiowa ku ich rozwojowi, szczęściu i wszelkiej pomyślności? Dlaczego zwycięskie, wszechpotężne szczury padły na pysk przed Wawrzyńcem Szpadlem i się przed nim pokłoniły? Ano z powodu kapuścianej klątwy przyprawionej wybrakowanym oświeceniem tak się stało; na szczury pohybel i ku radości Wawrzyńcowej.

W okamgnieniu, w przysłowiowego try miga, zrezygnowały ze swoich misternych planów i postanowiły służyć Oświeconej Kapuście, której to tutaj, w Piekło Narodowym, Święty Wawrzyniec Szpadel Pierwszy był rzecznikiem, namiestnikiem i jej woli wyrazicielem.

Oczy Szpadla Pierwszego, krwią nabiegłe, na wpół przymknięte, oświecenczo-nienawistne, stanowią doskonałe odbicie tego, co się właśnie w jego mózgu odbywało. Nie są przeto oczy oknami duszy naszej? I szczury, istoty wydawać by się mogło pragmatyczne, prostolinijne i schludne w obyciu, w jednym momencie wjechały na kapuściane wertepy i kompletnie zablądziły. Zapomniały zupełnie o dobru szczurzym, gdyż znajdowały się oto w rękach opętańca – czarnoksiężnika o mocach jak dotąd we wszechświecie nieznanym.

Stał on, jak posąg, z rozłożonymi szeroko ramionami, a jego ogromne nozdrza poruszały się miarowo, jakby węszył, wiatr łykał w płuca. Wąchał piekielne powietrze, powietrze wypełnione smrodem spalonych ciał, zapachem krwi i popiołów. Pośród tego mrowia

różnorodnych odorów, które dla normalnego człowieka wydałyby się odrażające i powodujące odruchy wymiotne tudzież omdlenia, Szpadel Pierwszy odnajdywał ekstazę.



W jego psychice kotłowały się wspomnienia. Wszystkie doświadczone przez niego krzywdy, zdradzieckie spiski, gówniane odmęty, w których nurkował, powróciły z niesamowitą siłą i spowodowały, że w sercu swoim lodowatym, kapustą przeklętą zatrutym postanowił się zemścić, i to zemścić się w najpotworniejszy, ociekający nieludzką ohydą sposób.



## Pożegnanie z Rozumem

Pastorał Rezowiecki odchodził od zmysłów. Wypełniająca go wściekłość i gniew nie odnajdywały wystarczającej ilości miejsca dla swoich artystycznych ekspresji.

Hapsior Mordor z R'lyeh, znamienity szarlatan i szambelan na dworze wielbnego Karakala, przybył więc czem prędzej i na życzenie Jego Rezowieckiej Mości rozpuścił mu ciało i przelał je do akwarium. Było to akwarium wyjątkowe, niezwykle szczelne i nafaszerowane upiorną aparaturą.



Rezowiecki odziedziczył je po swoim ojcu, Rezosławie Patroszyńskim. Zostało ono skonstruowane przez renegacki zbiór liczb rzeczywistych w uszkodzonej pierdochrumszczarce, a następnie nabyte w sposób nielegalny od cmentarnych strażników Hadesu.

Ile stary Patroszyński za to akwarium wypłacił, tego dokładnie nie wiadomo. Wiadomo tylko, że pracujący dla domu aukcyjnego Sotheby's specjaliści wycenili je na osiemset sześćdziesiąt kwadrylionów talonów na kurwy i balony.

W tym właśnie akwarium pływał sobie Pastorał. Zamieniony w astralne cząsteczki czystego zła, przelewał się z kąta w kąt i dokazywał niczym szatański glonojad.

Legenda głosi, że ten, kto w akwarium owe choćby jednym okiem byłby zerknął, to zaraz by mu krew w żyłach się zagotowała i tyle by z tego patrzenia było. My jednak, objęci czytelnicznym immunitetem, możemy bez cienia lęku do tajemnego akwarium zajrzeć.

Cóż takiego dostrzegą wtedy nasze oczy? Ano buszuje we wnętrzu akwarium ciecz przeklęta, ciecz mętna, zanieczyszczona brudem tak pradawnym, że jeszcze się wtedy Big Bang nie narodził. W zawiesinie śmierdzącej, w rytmie bluźnierczo zmiksowanych brejkorów – na gramofonach wyświęconych prawdziwą licheniówką przez głuchych didżejów, z płyt wypalanych w piecach, co kiedyś piekły chleb dla samego Belzebuba – manifestuje się koniec świata.

Biada, biada, koniec świata – mówią kupcy, władcy i inni matacze. Ich utyskiwania nikną oczywiście, i to w dodatku bez echa, we mgle rzeczywistości Rezowieckiej. Nikt przecież, choćby nie wiadomo jak świątły, bystry i kumaty, nie byłby w stanie przechytrzyć włodarza wszechświata. Jakież to plan sprytny on dla nas – maluczkich mróweczek i ciemnych żłobów – w całej swej wspaniałości rozpisal! Przyrządził nam smażony na smalcu armagedon.

Cały wszechświat, jego ogrom, skazany na zapomnienie, pogrązo-

ny w nicości bez wyjścia. Przy pomocy najstraszniejszych czarów, kaduków, biesów i samego Lucypera wszechświat miał zakończyć bieg, gdyż wydano na niego wyrok śmierci. Los taki mu zgotowano, że nawet pogrzebu robić nie trzeba. Ani grobu, ani zniczy, ani żadnego trupa, tylko nieskończona nicość, a pośród tej nicości, w samym jej środku, na bluźnierczym piedestale trwać będzie tajemne, wypełnione rzeczywistością Rezowiecką akwarium.

Straszna to wizja, jeżeli spojrzysz się na nią z punktu widzenia wszystkiego, co żyje i chęć ku życiu przejawia. Dzieje się tak dlatego, że życie nicości jest przeciwne, gdyż zupełnie inne kierują nim zasady. Kiedy jednak postawimy się na miejscu Pastorała Rezowieckiego, wtedy wizja ta wydaje się radosną, pełną szczęścia i świeżości.

Gdzie zatem leży prawda? Po czyjej stronie odnaleźć ją można? Odpowiedzi na te pytania od zarania dziejów poszukują różnego rodzaju pustelnicy i joginki i to ich trzeba by było zapytać, ich słów wysłuchać w skupieniu. Teraz jednak zostawmy czarnoksiężne bulgotania, tajemne akwarium i rozpuszczonego w nim Rezowieckiego w spokoju i udajmy się z powrotem na Wyżyny Innowierne.



## Pielgrzymka

Wyżyny Innowierne położone są w miejscu, gdzie nieboskłon łączy się z ziemią, a zamieszkane przez ludzi prostolinijnych, zbożnych inaczej. Z chałupy rodzinnej wyszła i rodziców opuściła Marysia Cmentarz. Jadąc na oklep na gniadej klaczy, co zrywna, lecz posłuszna, niosła ją poprzez pola, łąki i zagajniki, a ludzie i zwierzęta pozdrawiali ją, płacząc i łzy szczęścia roniąc. Gdziekolwiek stopy swoje Marysia postawiła – zapuszczając się na ten przykład w głąb lasu, by nazbierać dzikich jagód lub ewentualnie się wypróżnić, tam zaraz spod ziemi wyrastało kwiecie barwne. W którąkolwiek stronę wzrok zwróciła, tam Harmonia, Miłość i Zrozumienie się pojawiały.

Wędrując tak przez siedemdziesiąt siedem dni, dotarła w końcu pod wschodnią granicę Kraju Narodowego. Straszno się jakoś wtedy zrobiło, a klacz stawała dęba i tłukła kopytami o leśne runo. Niebo – jak dotąd błękitne – skryło się za ciężkimi niczym nacjonalizm chmurami. Drzewa dookoła wydawały się chore, spróchniałe, żeżarte przez korniki, radiację i leśne choroby. Bił spośród nich smród skostniałych poglądów, woń ideologiczna, niesłychanie cuchnąca, pozbawiająca samodzielności myślenia i zabijająca indywidualność.



Ponieważ klacz – wrażliwa i inteligentna – ideologizmów do swojej głowy nie wpuszczała, od razu powiedziała Marysi, że wraca do Stefana na gospodarstwo, gdyż ma na tego typu zakamary za słabą psychikę. W dalszą podróż ruszyła więc Marysia pieszo. Normalnej osobie byłoby być może smutno i straszno tak przez zgniłe wrzosowiska i duszne bagniska podróżować samopas, ale Marysia Cmentarz była przecież Królową Wszechświata i narodziła się po to, żeby stworzyć nowy kosmiczny porządek, a nie po to, żeby się przestraszać i lękliwie puszczać bąki.

Dwa miesiące przedzierała się przez Kabotyńskie Niziny, bez jedzenia i picia, bez snu i odpoczynku. Pod jej stopami jałowa, wysuszona ziemia, dookoła betonowe nory chlewne, kiedyś zamieszkałe przez obywateli Kraju Narodowego, teraz puste i ponure, przykryte grubą warstwą zgniłych śmieci. Szła nasza Królowa, Marysia Cmentarz, Wszechświata niszczycielka i stworzycielka. Czarna jej skóra, czarne kędziory, oczy płonące Miłością Gniewną kontrastowały z wszechotaczającą szpetotą i wdzierającym się w duszę obrzydlistwem.



Trzeciego miesiąca dotarła do cebulowego zagłębia. Kiedyś żywe i dyszące siwymi spalinami, wypełnione odzianymi w łachmany pracownikami, dudniące ciężką maszyną, upychało pod swoje stalowe strzechy miliardy ton cebuli i sproszkowanego szczypioru.

Ongi stanowiło imperium samo w sobie – imperium cebulowe, a jego zawartość decydowała o tym, co działo się na całym świecie. Świat leżał przeto przed cebulą i modlił się do niej. Teraz niestety sprawy prezentowały się zgoła inaczej.

W ruinie leżały przepiękne jeszcze niedawno spichlerze. Ściany ich roztluczone, wrota z zawiasów wyrwane, a cebula w większości rozszabrowana, ukradziona przez siły wrogie, nie Narodowe. Jak okiem sięgnąć, aż po sam horyzont, wszystkie pola i zagony w popiół i zgniliznę obrócone. Pod nogami wałyły się ścierwa krucze i lisie. Widać obzarte przegniłą, zepsutą i zapewne niesmaczną cebulą, dostały zatrucia pokarmowego i pomarły niebogi.



Gdzie tylko oddech Marysi ziemię musnął, tam zaraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, lisy i kruki z martwych wstawały. Gdzie stopy jej delikatne gleby spopielonej dotknęły, tam ze zgniliny owies i żyto kiełkować poczynały.

Marysia Cmentarz niosła przecież w swoim umyśle Wszechświat nowy, Wszechświat ulepszony, Wszechświat wypełniony harmonią, do którego oglądania nawet boginie i bogowie nie przywykli.

Trzeciego miesiąca dotarła do Zbierza Zarębskiego, miejsca, gdzie za czasów świetności Kraju Narodowego, jeszcze podczas sprawiedliwych rządów Kołodziejskich z Kruszwicy, wegetowało siedemdziesiąt procent kasty wielkowiejskich. Przykryta zbrojonym betonem prowincja, powierzchnią trzykrotnie większa od Francji, pięła się do góry równymi rzędami blokowisk. Ich labirynty ciągnęły się kilometrami, kłuły w oczy brzydota i ziały milionami małych, gęsto zakratowanych okien. Wójt Zbierza, niejaki Tadeusz Wychodek, szczycił się tym, że za jego kadencji wyrżnięto z prowincji wszystkie drzewa i krzaki, a trawniki zalano smołą.

Pomimo panującego tu dobrobytu, ręka losu spadła w końcu na Zbierz jak grom z jasnego nieba. Odziana w żelazną rękawicę, jebła w niego z taką siłą, że się wszystkie piękne blokowiska z miejsca rozpeęły w kawały. Pośród ruin, zawinięte w gruz, szerniały i wysuszone, powykręcane na sposoby naturze przeciwne, spały snem wiecznym kasty wielkowiejskie. Choć dmuchała Marysia na wielkowiejskie trupy, nie zmartwychwstały one, tylko trupami pozostały. Później dopiero się okazało, że kasty wielkowiejskie były tak zatrute narodostwem, tak naszpikowane faszystowskim odrętwieniem umysłowym, że nie można już było im pomóc.

Pośród zgłiszczy szła Marysia Cmentarz, żwawo krocząc przez Narodowe popielisko i nic jeno psów wychudzonych ujadanie w powietrzu gęstym od ołowiu się rozlegało. Jakże straszny los spotkał ten kraj, co niegdyś niczym diament człowieczego spełnienia jaśniał na mapach i globusach!

Czwartego miesiąca oczom Marysi Cmentarz ukazał się Lazurowy Zalew w Gliniankach Garogłockich. Miejsce ze wszech miar ekskluzywne, okryte splendorem, a wymyślone dla ludzi majątnych. Takie szaraczki jak my – zwykłe służki potężnych plutokratów – Lazurowy Zalew zobaczyć mogą jedynie przez chwilę na ekranach telewizorów, jeżeli tylko byłoby nas stać na opłacenie abonamentu.



Glinianki Garogłockie, ulepione z prawdziwej gliny, a wypełnione wodą zastałą, gęstą i wzbogaconą zmutowanymi glonami, roztaczały zapach najprzedniejszej zgnilizny. Dno Lazurowego Zalewu, muliste i grząskie, pełne dobrze wykarmionego robactwa. Na brzegach za to z betonu zbrojonego zbudowane hotele stupiętrowe, pełne dorytych



atrakcji, o których normalny człowiek nigdy nie słyszał. Tutaj właśnie, w przepastnych salonach wypełnionych trupim powietrzem, wyuzdanych rozkoszy zażywały ruskie oligarchy, szejki i nowobogacka szlachta. Obżarci kartoflami ze skwarkami, opici wieprzowym smalcem, wysmarowani najdroższym gównem z importu, ślizgali się we własnych rzygowinach oraz taplali swoje cielska w zmielonych cytrusach i krwawej marmoladzie.



Teraz jednak nic ze świetności dawnej nie zostało. Niezwykle drogą, w zasadzie bezcenną wodę ukradli żli najeźdźcy, innowierni siepacze, dzicy bezbożnicy, okrutnicy z krajów ościennych. Przyjechali zagranicznej marki ciężarówkami i za pomocą gumowych rur wyskali zawartość Lazurowego Zalewu do ogromnych, odlanych ze stali cy-

stern. Wywieziono za granicę Kraju Narodowego również wszystkie muły, łącznie z zamieszkującym go robactwem, a betonowe hotele rozszabrowano do ostatniego sztućca.

Później zaś nadjechały niemieckie spychacze, koparki i wywrotki. Przy złowrogich dźwiękach pracujących w gęstych kłębach spalin silników zabrały one naszą glinę i wywiozły, chuj wie dokąd. Została tylko wielka betonowa płyta, na której to kiedyś znamienicy architektki, technicy i budowniczy wzniesli Lazurowy Zalew.

To tutaj właśnie, na betonowej równinie, grupa wyzwolénca Mekka Inc. założyła swój własny kraj. Był to kraj nieduży w rozmiarach, ale za to rządzony sprawiedliwie.



Rządzili nim mężczyźni. Znajdowali się oni w posiadaniu specjalnych pism prawnych, które kiedyś zostały im podyktowane. Z powodów higienicznych, mężczyźni ci zawijali kobiety w prześcieradła, dla ich własnego dobra. Dopóki siedziały one cicho i znały swoje miejsce w społeczeństwie, nic im nie groziło, a wręcz przeciwnie: żyły sobie w dobrobycie i niczego im nie brakowało.

Podział obowiązków w tym sprawiedliwie rządzonym kraju był bardzo prosty. Mężczyźni zajmowali się sprawowaniem władzy i prowadzeniem interesów, a kobiety krzątały się po obejściach, nosiły toboły i sprawunki oraz pilnowały, żeby gospodarstwa były posprzątane.

Teraz, przy pomocy dopiero co zdobytego piekielnego papieża, grupa wyzwolenicza Mekka Inc. planowała rozszerzyć swoją działalność na cały świat, a tym samym podzielić się z nim niewystożonym szczęściem i zapewnić mu optymalne warunki życiowe. Na nic feminizm, dzendery i równouprawnienie. Na co komu nauka, wolność słowa i indywidualizm, skoro można żyć zbożniej, prościej i porządniej.



Innego zdania z kolei była Marysia Cmentarz i w tej właśnie sprawie wpadła w odwiedziny do Amira Abdula Khana i jego współpracowników.

Abdul z początku zdziwił się, że Marysia nie jest zawinięta w prześcieradło. Zaoferował jej więc dopiero co wykrochmalone, świeże lniane prześcieradło, żeby mogła się w nie zawinąć i normalnie wyglądać, ale Marysia grzecznie odmówiła, mówiąc, że jest jej po prostu wygodniej w spodniach bojówkach i w trampkach, i że lubi czuć na twarzy powiew świeżego powietrza. Abdul czuł się tym zachowaniem trochę zakłopotany, zupełnie nieprzyzwyczajony do tego typu kobiecych fanaberii.

Na darmo się jednak kłopotał, gdyż Marysia wyjaśniła mu w kilku słowach, że spisane onegdaj pisma prawne uległy właśnie przedawnieniu i że Marysia przyniosła Abdulowi nowe, świeżo co spisane pisma prawne. Były to pisma prawne ulepszone.

Amir Abdul Khan aż się zarumienił, tak go Marysia Cmentarz oczarowała. Trudno wszakże się dziwić, gdyż Amir był tylko zwykłym człowiekiem, a Marysia boginią pośród wszystkich bogiń. Rozczytywać się zaczął w ulepszonych pismach prawnych, poić się zawartą w nich mądrością. Mądrością ponad podziałami, ponad prześcieradłami. Okazało się bowiem, że kobiety też potrafią prowadzić interesy i rządzić, a mężczyźni wcale nieźle radzą sobie przy garach.

Marysię zegnano kwiatami i watą cukrową. Cała grupa wyzwolénca Mekka Inc. obiecała się zająć uprawą owoców i warzyw oraz oddać się bezgranicznie szerzeniu miłości. Piekiełnego papieża zaraz rozmontowano na kawałki i przerobiono na sokowirówki.



## Majaki

Wawrzyniec Opętaniec gromadził tymczasem szcurze hufce na Równinach Magoga Gradożercy i szykował się na ostatnią potyczkę, bitwę o wszechświat, bitwę o wszystko, co nam najdroższe. Poza wszechświatem naszym – starym, sprawdzonym, lekko wyświechtanym – nie znamy wszakże nic.

Rozsądnym przeto wydawał się fakt, że Wawrzyniec zaprzysiągł sobie wszechświat uratować. Myliłby się jednak ten, kto w swej naiwności domniemywał, jakoby dokonać tego chciał dla nas, ma-

luczkich ludzkich mróweczek, bezradnych owieczek. Z samego człowieczeństwa zostało się zresztą niewiele, gdyż najpierw Rezowiecki ze Sprzęgłem do spóły większość populacji wymordowali, później swoje krwawe trzy grosze dołożyły szczury i ostatecznie wszystkich ludzkich, podludzkich oraz człekopodobnych w całym bożym świecie na palcach jednej ręki policzyć się zdało.



Tak jakoś dziwnie się złożyło, że zamiast możnych i magnatów, bogatych przedsiębiorców, właścicieli korporacji czy lwów finansjery przetrwać zdołały jedynie męty społeczne, odszczepieńcy, wyrzutki i dzikusy. Wszystka hołota, co z miast wygnana, w borach gęstych, w górach, w pieczarach na dziko koczowała.

Zwierzętom dzikim podobni, rozczochrani, cywilizacji dobrodziejstw przeciwni, wybrali życie człowiekowi uwłaczające. Zamiast w rodziny, oni łączyli się w komuny i spółkowali pomiędzy sobą bez małżeńskich sakramentów. Chłop z chłopem, baba z babą, razem wszyscy na kupie oddawali się cielesnym przyjemnostkom i wydawali się być przy tym, na domiar złego, ukontentowani.



Inny los zgotowano mieszczuchom, wieśniakom i klasom rządzącym. Wyrżnięci zostali do przysłowiowej nogi i pogrzebani w ruinach swojej niedawnej świetności. Od Morza Beringa aż po wschodnią Syberię wszystko szczur zagryzł, zatłukł i zaozał. Oglądał był człowiek filmy o kataklizmach, martwił się – zupełnie niepotrzebnie – że meteor, że obcy przylecą, a tu szczur wyszedł z kanałów i zrobił im

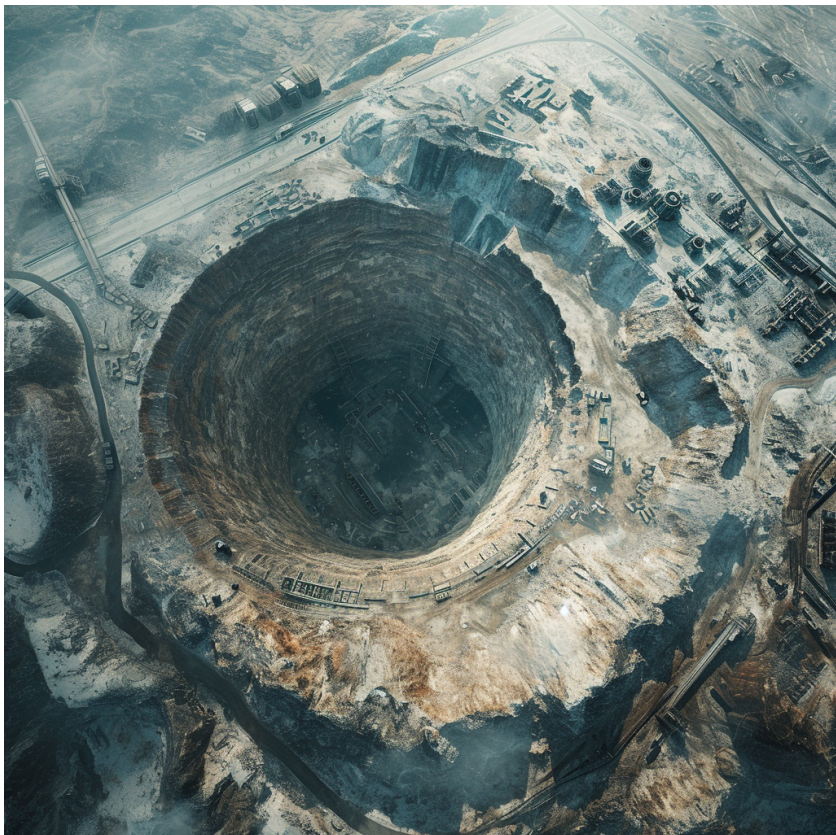
lepiej niż w kinie. Prawdą jest zatem, iż większość naszych obaw na zawsze pozostanie w sferze wyobrażeń i nigdy się w rzeczywistości nie ziści.

Zaprawiony przekłętą kapustą Wawrzyniec posiadał krystalicznie czystą wizję przyszłości: przy pomocy miliardowej, bezgranicznie mu oddanej armii szczurów podpali całą ziemię, żeby się doszczętnie zjarała. Ogień zapłonie, gorący, nieokiełznany, i zrobi się taki upał, że wyparują wszystkie oceany. Nie ocaleje ani jedno zwierzątko, żaden krzaczek ani nawet trawki kępka. Zostanie tylko popiół, delikatnie miękki, beznamiętny, doskonale się komponujący z Wawrzyńcowym nastrojem.





Następnie, używając mocy kapuścianego umysłu, rozkaże szczyrom wykopać w spalonej ziemi strasznie głęboki szyb. Obszerny, wzmocniony stalowymi rusztowaniami, sięgnie w końcu aż do jądra ziemi i w sposób uwłaczający naturze i oryginalnemu przeznaczeniu planety wykorzysta to jądro do celów niecznych i tak plugawych, że jeżeli ktokolwiek spróbowałby tylko je zwizualizować, od razu wypaliłoby mu mózg. My natomiast, poznający te wydarzenia z kart księgi zamiast z autopsji, cele owe ujrzyć możemy wyraźnie, jak na dłoni.



Wawrzyniec Opętaniec, Kapuściany Bóg, używając wybrakowanego oświecenia i zatrutego intelektu, we wzniesionych na popiołowych pagórkach laboratoriach wymyśli technologię, o której Dolina Krzemowa mogła jedynie pomarzyć. Żeby tego dokonać, trzeba bę-

dzie powierzchnię ziemi poryć jak sito i wyszarpnąć z niej wszystkie surowce. Co do ostatniego ziarenka, ostatniej kropelki, chciwe łapska Kapuścianego Boga wyprują Matce Ziemi flaki.

Pracujące pełną parą szyby wiertnicze, kopalnie i kamieniołomy pochłaniały szczurze istnienia jak wielka maszynka do mięsa. Zniewolone zwierzęta harowały na sześć zmian, bez jedzenia, bez picia i bez przerwy na herbatę. Wawrzyniec nie pozwolił im również założyć związków zawodowych.



Szczurom było z tego powodu trochę przykro i czasami żałowały, że zamiast Wawrzyńca po prostu na miejscu zapierdolić, to dały się oślepić kapuścianym oświeceniem i skończyły jako niewolnicza siła

robocza. Życie pisze dziwne scenariusze, a od bycia zwycięzcą do bycia niewolnikiem droga niedaleka.

Wawrzyniec Opętaniec nie przejmował się jednak zdaniem gryzoni. On budował przecież coś większego niż samo Życie: wypełniał kapuścianą wolę. Wtargnął szczirom do mózgow, zaprogramował je za pomocą języka Kraut+ i zaprzął do celów szczytnych, chwalebnych.

Naszprycowane żarłocznym softwarem szcziury same do końca nie rozumiały własnego zniewolenia. Chociaż targała nimi wściekłość i pragnienie, by Wawrzyńca – opresora i okrutnego króla – zamordować, chociaż zdawały sobie sprawę z liczebnej nad nim przewagi, to jednak doskonale napisany żarłoczny software trzymał je w ryzach mocno i nie pozwalał na najmniejsze przejawy nieposłuszeństwa.

Wawrzyniec zachowywał się tak, jak przystało na Oświeceniowego Opętańca. Tarzał się w popiołach, żarł węgiel i pił ropę naftową. Dla nas, osób błędzących w odmętach iluzji, zachowanie takie wydaje się co najmniej nierozsądne, a wręcz szkodliwe dla zdrowia. Nic bardziej mylnego. Jednak my – maluczcy i nieświadomi – dowiemy się o tym dopiero za siedemnaście tysięcy lat świetlnych. Wtedy to zostaną opublikowane, rozwlekłe w swej formie, badania nad wartościami odżywczymi ropy naftowej i węgla.

Wybitni specjaliści od spraw odżywiania, poprzez szereg dokładnych eksperymentów, wykażą niezbicie, iż spożywanie węgla i ropy naftowej zapewnia nieśmiertelność. Kiedy to się stanie, ogarnie nas poczucie wstydu i zniesmaczenia. Jakże to? Myśmy wszystkim węgiel w piecach zjarali, a ropę naftową na śmierdzące, ołowiane i niezdrowe w dodatku spaliny zamienili, zamiast zapewnić sobie nieśmiertelność? Tak wspaniale ziemia została dla człowieka zaprojektowana! Wystarczyło tylko siedzieć w lesie, pić ropę, jeść węgiel i życiem wiecznym się radować, zamiast miasta wznosić i urządzać industrialne rewolucje.

Wawrzyniec Szpadel, z próbówki na robotniczym położniczym zrodzony, Cesarz Samodzierzca upadłego Imperium Narodowego, szambonurek pierwszego kontaktu, Oświecenię, Opętaniec i Kapuściany Król, postanowił w swoim sercu skażonym całe Życie w cień usunąć. Potrzeba mu było bowiem spokoju i ciszy do kontemplacji.

Najpierw Ziemię jako pierwszą ubić, a jej zwłoki przerobić na największy w historii statek kosmiczny. Poszybuje wtedy przed siebie i cały wszechświat od życia ochroni: słońca zgasi, czarne dziury zapcha watą, planety spopieli i wtedy dopiero zazna świętego spokoju.

Nażarty węglem, opity ropą i przez to też nieśmiertelny, siądzie na środku wszechświata i w końcu będzie miał chwilę dla siebie, żeby się zamyslić, pomedytować.

## Medytacje



Marysia Cmentarz przebywała w stanie uważności, obserwowała umysł, który stwarza rzeczywistość. Spoglądała ponad iluzją, ponad niewolą wiecznej transmigracji; unosiła się nad oceanem samsary i widziała, jak rodzą się imperia i jak imperia upadają.

Wiatr ślepej karmy rozrzucał jednostkowe byty po wszystkich światach istnienia.

Wiemy już zatem, że jednostkowe istnienia, malutkie mróweczki, zagubione we mgle dzieci, umierają co jakiś czas. Zdarza się jednak umierać i całym wszechświatom. Kiedy złej karmy nabiera się już odpowiednio dużo i nie może się ona we wszechświecie zmieścić, nie ma innej rady dla takiego wszechświata, jak tylko wyciągnąć kopyta.

Cóż począć jednak, gdy jakiś wszechświat jest pełny werwy i zdrowia i w ogóle nie zamierza umierać? Wtedy zjawia się bogini nad boginie, Matka Wszelkiej Przestrzeni, Mistrzynie Wiecznego Spektaklu: Marysia Cmentarz.

Przepełniona współczuciem i mądrością pustki, wie doskonale, kiedy przyjść i zatruty wszechświat zakopać w grobie nicości. Ma w działaniach tego typu wprawę i doskonale rozeznanie, gdyż pogrzebała już z dobre kilkaset wszechświatów, a wraz z nimi ich lokatorów.

Z modlitw i wołania o pomoc powstała bogini nad boginie, Marysia Cmentarz. Przychodziła przynieść ulgę, pełną cierpienia egzystencję uczynić bardziej znośną. Dlaczego więc śmierć wszechświatom serwowała? Jakim prawem uśmiercała wszystko, co w nich żyło?

Pytania tego typu powstać mogą tylko i wyłącznie w umysłach niedoskonałych, dualistycznych, a myślących w kategoriach dobra i zła. Absolutna prawda głosi bowiem, że nie da rady niczego zabić, ukatrupić czy urodzić. Pojęcia takie są iluzoryczne, nieprawdziwe, a sklecone na potrzeby ludzi zanurzonych w odmętach ignorancji. W rzeczywistości wszystko jest bardzo proste. Z lewej strony coś jeb-

nie i jeden wszechświat zniknie, z prawej strony coś huknie i drugi wszechświat się pojawi. To Marysia Cmentarz porusza magiczną różdżką. Kończy się coś, by mogło zacząć się nowe, a zabici i tak nic nie będą pamiętać. Chwila, moment. Błysk potężny, a mocny tak, że oślepiłby spawacza i nie pozostaje nic poza nicością.

Nasz wszechświat opił się złą karmą, zezmacił, a następnie stoczył, wprost w rynsztok zgniłych gwiazd. Nie opłacało się go ani remontować, ani reperować i dlatego właśnie trzeba było spisać protokół strat, posłać na szrot, zełomować. Niektórzy mogą na takie słowa wpaść w zadumę, a nawet zacząć zadawać filozoficzne pytania. Kto złomuje wszechświaty? Gdzie szrot wszechświatowy znaleźć można? Ile za tonę zardzewiałego wszechświata się dzisiaj płaci? Pytania tego typu nie mają oczywiście najmniejszego sensu, jako że szroty z wszechświatowym złomem znajdują się w wymiarach rzeczywistości nam niedostępnych, a złom na nich się znajdujący nabywa się za waluty nam nieznanne.



Na peryferiach Lustrzanego Wszechświata, w odmętach Niewysłowionego, pośród bagnisk umysłowych, na podmokłych gruntach rolnych zbudowano szrotę z wszechświatowym złomem.

Zarządzali nimi Czarnoanielscy z Grupy Szachmat.



Skupowali ze złomowane wszechświaty po okazjnych cenach, na aukcjach, a uzyskany w ten sposób towar przekuwali na lustro. Były to lustro koślawe, potwornie zniekształcające rzeczywistość. Kto raz tylko w takie lustro spojrzy, temu zaraz rozum zostanie odebrany.

Nic tylko zew stadny oraz różnego rodzaju ideologie we łbach

wtenczas się lęgną, prowadząc ludzkie stada do kościołów, stadionów i centrów handlowych.

Nie ukryje się nikt przed mocą Czarnoanielskich, przed zachłannością Grupy Szachmat. Ten zbitek haniebnej plugawości, łączący w sobie moce, kędyś na ołtarzach ohydy sławione, poruszał się z prędkością, która światło doprowadziłaby do zawrotów głowy.

Zakuci w zbroje wykute przez Hefajstosa, siedzieli okrakiem na prawdziwych piorunach i galopowali na nich bez chwili wytchnienia, gdyż walka była ich odpoczynkiem, snem zaś wieczyste czuwanie.





W wojowaniu i śmierci rozsiewaniu wprawieni, a przez Pijanego Boga do istnienia powołani, wychowani zostali surowo, bez cienia choćby jakiegokolwiek uczucia, bez przytulasków, bez buziaków na dobranoc i bez pluszaków.

Cięli na przelaj, na dobrej piździe, aż wszystkie planety – co miały nieszczęście znaleźć się na ich drodze – zaczynały się kręcić w drugą stronę. Gdziekolwiek ich obecność odnotowano, tam poplątanie zmysłów rządy swoje obejmowało, zaś roślinność gniła, obumierała i wysychały górskie potoki. Malownicze pejzaże zamieniały się w gnojowiska, koryta rzek toczyły przed siebie hektolitry wściekłego gówna: gówna złego, nieprawego.

Te upadłe anioły, które kiedyś na wysokościach zasiadały na złoconych ławach i opijały się mrożoną ambrozją oraz żarły winogrona i najprzedniejszą cielęcinę, teraz zwiastowały niedobłą nowinę, zabierały resztki nadziei i wpajały do głów wiedzę straszną, jak dotąd na uniwersytetach niewykładaną. Jeszcze po prostu tej wiedzy wymyślić profesorowie nie zdążyli, a ona już się pojawiła, niezaproszona, i plany na przyszłość zakończyła.

Straszne to uczucie znaleźć się w polu działania Grupy Szachmat. Na szczęście dla odczuwającego przemija ono tak szybko, jak tylko się pojawia, zamieniając mózg w zdezelowany ochłap wypalonych do samych korzeni szarych komórek. Nie da rady bowiem przejść obok ich chwały obojętnie i nie narodził się jeszcze żaden męski mocarz ani kobieca wojowniczką, ani nawet największy napierdalcator pośród dzenderów i nonbinarów, żeby choćby spróbować głowę podnieść i spojrzeć w nienawistne oczy. Oczywiście Czarnoanielskie.

Wypadałoby w tym momencie zadać sobie kilka pytań. Po co Grupa Szachmat opuściła Lustrzany Wszechświat? Po cóż to, galaktyka po galaktyce, na ultrapierdolnięciu, chesali pomiędzy systemami słonecznymi jak wielkimi zgrzebłami? Ano, poszukiwali oni nikogo innego jak samej Marysi Cmentarz. Zapragnęli przeto dopaść

ją i zamordować, a tym samym przejąć monopol na złomowanie wszechświatów.

Sama Marysia natomiast, niewielka być może w rozmiarach i sprawiająca wrażenie grzecznej dziewczynki, miała głęboko w przysłowiowym tyle machinacje Grupy Szachmat. Pozory bowiem często mylą i wszyscy przekonaliśmy się o tym choć raz w życiu.

Ta niepozornie prezentująca się dziewczynka miała w sobie tak potężną siłę, że lewym prostym potrafiła zgasić Wielką Ścianę Hercules. Nie obawiała się więc żadnych Czarnoanielskich Szachmatów. Demony, biesy, czorty i strzygi stracha napędzić mogły co najwyżej zwykłym zjadaczom chleba, osobom zaplątanym w meandry życia iluzorycznego. Przeciętność, pospółstwo i inna pospolitość – jak już możemy się domyślać – nijak się ma do zacności i szlachetności Marysi Cmentarz, co na tym łożu padole jest sługą samej Opatrzności – jej mocarnym, miecz sprawiedliwości dzierżącym ramieniem.

Ród Marysi Cmentarz korzeniami swymi sięgał do prapoczątku, do nocy wszystkich bogów i potencjalnych stwórczy. Spali oni wtedy wszyscy słodko, zwyczajnie nieświadomi mocy stwórczych i boskiego przeznaczenia, które to przecież było im dane na wieki wieków.

Żeby chociaż trochę zobrazować wiekowość rodziny Cmentarzy, wystarczy powiedzieć, że jak ich dom rodzinny budowano – prosty, murowany, z kamiennym kominem i drewnianymi okiennicami – to jeszcze we wszechświaty się Wieczność nie przystrajała, gdyż inna zupełnie wtedy panowała moda odzieżowa, zwyczajnie nie wszechświatowa.

Później dopiero wszechświaty zaczęły powstawać, jeden po drugim, i w którymś z nich, zupełnie przeciętnym, dość ciasnym w rozmiarze, myśmy się narodzili.

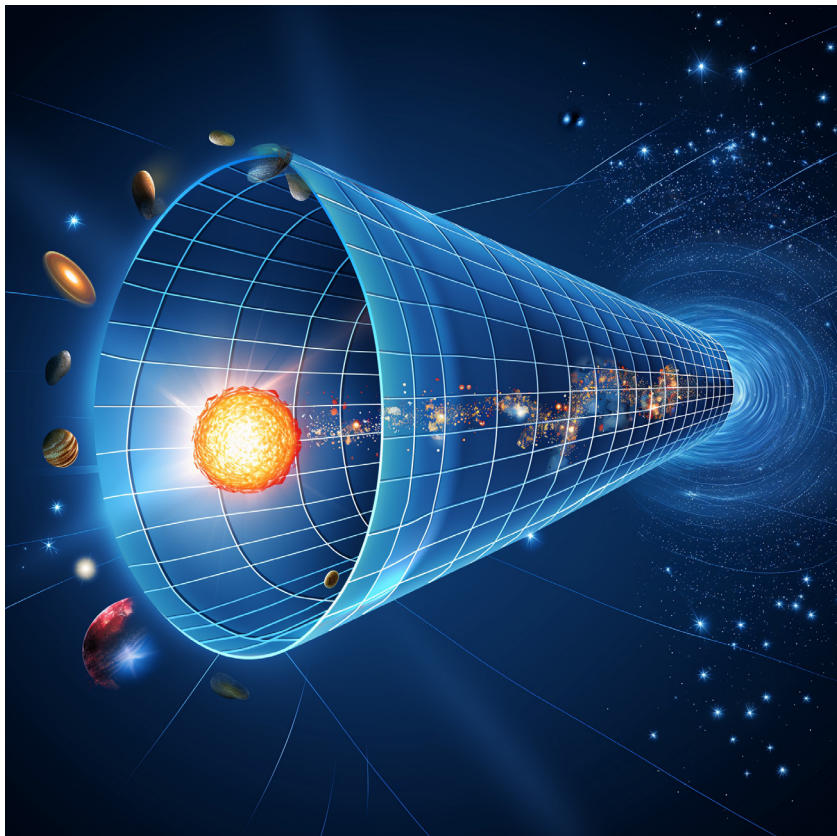


Trudności pewnej nastęrcza zrozumienie tego, co próbuje się, w nieudolny dość sposób, tutaj ukazać. Wymiar istnienia przedwieczny, przedbigbangowy, przedwszechświatowy, ten przejaw życia w formach nam nieznanymi – obcy i niegościnnie tak, że aż strach przebijają duszę na wskroś – jawi się przed oczyma niczym mglista plama, w kształcie rozmazana, niezawierająca w sobie żadnej substancji. Wyobraźnia człowiecza – jeżeli w ogóle się jej choć krztynę posiada – odmawia współpracy, wyrzywa się i próbuje uciec.

Zwykliśmy przecież operować wyobrażeniami o zjawiskach, miejscach i bytach, których nie udało nam się doświadczyć empirycznie, na sposoby karkołomne i z rzeczywistością niemające nic wspólnego. Wyciągamy otóż z pamięci obrazy wcześniej już widziane i tworząc

hybrydy pojęciowe, próbujemy z nich poskładać twarz Niewiadomego.

Jakkolwiek jednak byśmy się starali wyobrazić sobie Przedwieczność i choćby wyobrażenia nasza okazała się nieprzeciętna, a my absolutnie genialni – niczym skrzyżowanie Einsteina z Milesem Davisem, to nie będzie nam dane nawet jednego centymetra Przedwieczności ujrzeć, gdyż wyobrażenie o niej okaże się błędne.



Przedwieczność nie jest miejscem, gdyż nie istnieje w niej przestrzeń, która jest nieodzowna do tego, by zmanifestować się mogło składające się z żywiołów życie. Jest to właśnie Przedwieczność. Mroźna, groźna i mądra na sposoby znacznie przewyższające nasz

niedołężny intelekt. I z tej Przedwieczności, dźwiękiem modłów błagalnych przywołana, wypełzła Marysia – najmłodsza córka Czesława i Marianny Cmentarzy.

Jeden krok wystarczył jej w zupełności, aby znaleźć się w samym środku dobrze nam znanego, a dla niej widzianego po raz pierwszy, wszechświata.

Powodowana Gniewną Miłością i pozbawiona umysłowych trucizn, bez problemu dokonała oglądu i postawiła niekorzystną dla nas diagnozę, która jeśli tylko nie pozostałaby utajniona, to natychmiast przywlekłaby całą ludzkość wprost na skraj szaleństwa.

My jednak, pobłogosławieni przywilejem nad przywileje, zajrzeć możemy bezkarnie w krystalicznie czystą wodę umysłu Marysi Cmentarz, a tym samym tę diagnozę odczytać. Ujrzyć wielki koniec, śmierć całego kosmosu.

Dryfując w umysłowych wodach gniewnego miłosierdzia, spoglądamy okiem beznamiętnym, pozbawionym przywiązania i widzimy, że nic już się niestety w sprawie wszechświata ratowania zrobić nie dało. Zaślepieni ignorancją, całkowicie ogłupieni, durni niczym stado wściekłych baranów, stratowaliśmy go, doprowadziliśmy do ruiny, a na końcu nasraliśmy mu do gardła i on się po prostu tym głównym zadusił.

Łza kręci się w oku, ale najnormalniej w świecie nie wypada nam lamentować i biadać. Nadchodzi otóż koniec wszechświata. Smród zgniłej karmy wypełnia jego szerniałe, uschnięte płuca, zatacza się on, rzyga martwymi supernowymi i jest mu trochę przykro. Zawsze starał się być dobrym ojcem i chociaż rękę miewał ciężką, to na swój sposób kochał swoje ludzkie dzieci. Jak to jednak często bywa, dziecko dorasta, układa sobie życie z dala od rodziców, a o nich samych po prostu zapomina. Złe człowiecze dziecko wysało rodziciela z życia, rozszabrowało majątek, sprzeniewierzyło ojcowiznę.



Widzimy więc wyraźnie, że śmiertelna misja Marysi Cmentarz jest jedynie aktem miłosierdzia. Pożegnalnym całusem z dubeltówki, z dwóch rur naraz, wprost w czoło.

## Regeneracje

Pastorał Rezowiecki wyjechał do sanatorium w Ustroniach Beżbożnych. Skromne to miasteczko, o którego istnieniu nie wiedział żaden spośród śmiertelników, otaczają wzgórza rtęciowe, srebrne w kolorze i zimnem straszliwym promieniujące niczym tysiącletni mróz, era lodowcowa w pigułce.

W oddali, wykrzywione na sposoby nieludzkie i wbrew zasadom stwórczym ulepione rękami czarnych magów, garbią się Góry Starej Wiary. Na stromym zboczcu najwyższej z nich widnieje katedra Sponiewieranego Kurwiszczu, z prawdziwych pustaków wzniesiona. Wieże jej strzeliste, porośnięte zgniłym bobem, rzucają złowrogi cień na okolicę. Szczyt lewej, wyższej, szpetniejszej wieży zdobi ze stali odlany, a na osiemnaście metrów długi kindżał, ozdobiony trupimi głowami, które onegdaj, w mrokach przeszłości, odrąbał z ciał świętych sam Pastorał Rezowiecki na swoją szóstą komunię.

Zniesmaczony, znudzony i ogarnięty depresją, wylazł z tajemnego akwarium, przywdział ciało człowiecze i siedział, osowiały, bez apetytu, w stołówce zakładowego domu wczasowego Zmora.



Kucharze włoscy i flamandzcy przygotowali dla niego ucztę wspa-  
niałości. Czegóż tam by człek głodny, ku swojej nieposkromionej  
radości, nie odnalazł! Wiktuały o najwyszukańszych smakach woń  
podsmażonego tłuszczu w nozdrza tłoczyły.

Pieczona w całości, nadziewana podróbkami i pasztetem z bara-  
niej wątroby dziecięcina, wonne podgardla świńskie wędzone w dy-  
mie z przeklętych zniczy, pasztety z ludziny, kiełbasy papieskie, flaki  
na surowo, kiszone płuca, czarna potrawka z wściekłej nutrii, roz-  
pływające się w ustach spleśniałe głowy gołębie, robaczywe suflety,  
komary na sucho, pełne naturalnego aromatu rosoly z belzebubich  
much, a na deser – zsiadłe mleko i cudownie kruche suchary.

Wstał w końcu od stołu, odsunął pusty talerz, siepnął na posadzkę  
srebrny widelec i wyszedł na zewnątrz. Pogoda była piękna. Abso-  
lutnie nieruchome i przesiąknięte stęchlizną powietrze obsiadło mu  
twarz niczym rój niewidzialnych insektów. Posępny na licu blad-  
-nienawistnym, wargi wąskie, bezkrwiste, zaciśnięte szczelnie i choć  
było dopiero letnie popołudnie, to dyszał lodowatą parą z nozdrzy.

Zdenerwowany był w rzeczy samej, gdyż jakże nie popaść w stany  
nerwowe, kiedy nic przecież nie wypoczął, żadnego odprężenia w  
tym sanatorium nie uświadczył. Smutek i żal do świata targały duszą  
skołowaną, która skarżyła się samej sobie.

Jakże to? On, Pastorał, najciężej harujący we wszechświecie król,  
co całe życie poświęcił służbie ludzkości, nie zasłużył był sobie na  
odrobinę odpoczynku? Och, podły, niesprawiedliwy świecie! Czy o  
tak wiele znowu prosił? Tyle, żeby usiąść w ciszy, posiłek skromny  
spożyć, odprężyć się, odsapnąć.

Myśli, niczym obłądne rojenia, miały mu duszę, z której ulaty-  
wała właśnie radość życia, co zawiodło go i oszukało, rzucając pod  
nogi kłody w postaci Sprzęgłów, Opętańców i chuj wie czego jeszcze.

Kraj Narodowy – niby zahukany, zaszczyty oraz zapomniany



przez bogów – a tak jakoś sprytnie włodarza wszechświata przechrzył! Nie docenił, zignorował Pastorał obywateli Narodowych, którzy jak dotąd nic innego nie robili, tylko się nawzajem prześladowali. Gnębił jeden drugiego i okradał z zarobku. Pańszczyzny, złodziejskie podatki, obmawianie za plecami i klękanie przed proboszczem – oto Kraju Narodowego przykazania. Uśmiech tutaj, od zarania dziejów, niemile był widziany. No chyba że w celach prześmiewczych, by obśmiać kogoś, wyszydzić, gdyż nie do pomyslenia było śmiać się dla samej wesołości.

I tak właśnie mieszczący się na zadupiu kosmicznym Kraj Narodowy, miejsce – wydawać by się mogło – bez specjalnego znaczenia, obrócił Rezowieckiemu żywot w perzynę, dojebując mu mocarnie i przyprawiając o depresję. Wszelkie plany na przyszłość, stanowiące głównie o modyfikacji wszechświata oraz urabianiu go na własną modłę, legły na wznak w sieni marzeń. Błade, niezdrowo się prezentujące plany, o oddechu krótkim, płytkim, urywanym. Długo takie plany wzniosłe nie pociągną i trzeba im będzie pochówek zorganizować, a później już tylko stupor i tendencje samobójcze przejmują umysł we władanie.

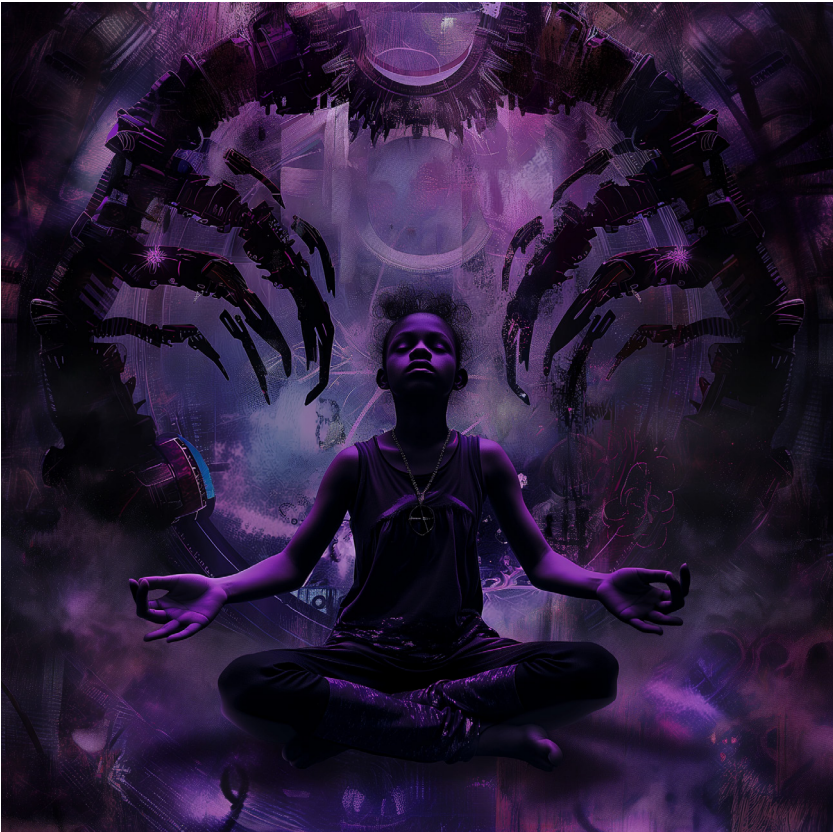
Niemożliwym jest na szczęście, za pomocą zwykłego mózgu ludzkiego, pojęcie całej alegorii, symbolu, którym, niewątpliwie, jest przecież Pastorał Rezowiecki. Życie jego jest dziełem filozoficznym, czyny jego mitologiczne, monumentalne, wykute w samej wieczności. Ażeby sztuki tego kalibru choćby spróbować, skosztować, trzeba mieć zęby twarde, gardło drożne i silny żołądek.

Dla szarej masy ludzi zwykłych rzeczywistość pozostaje ograniczona ciężkimi warunkami egzystencjalnymi i przebywaniem w krainie codzienności, nigdy nie wstępując na wiodące ku metafizyce schody. Tłuszcza winna być pokorna, tania i przede wszystkim: użyteczna, gdyż takie jest jej przeznaczenie.

Dla wielkich pozostaje tylko monotonna wspaniałość, w której to, niczym świnie w zdrowym gnoju, bezustannie się taplają.

## Pyszny Szachmat

Wściekłe szczypce wyrwały Marysię z magicznego kręgu. Przybyły znienacka, najprawdopodobniej z rejonów ogarniętych szaleństwem. Istoty bogobojne nigdy by się w takie rejony nie zapuściły, gdyż, po pierwsze, nie miałyby pojęcia, jak tego dokonać, a po drugie, od razu by im wszystkie szare komórki wypaliło do cna, po czym zamotało we łbie niczym diabelskim biczem i zaserwowało wiekuiste palpitacje serca. Jak do tego doszło, kto zawinił, kogo wypadaloby obarczyć odpowiedzialnością za tak druzgocące partactwo?



Odpowiedź na to pytanie jest niestety prosta: przepelniona szczęściem, spokojem i współczuciem bogini odprężyła się tyćkę za bardzo. Ślepo zaufała ochronnym rytuałom i oddawała się właśnie wieczornej kontemplacji, przygotowując się tym samym do zagłady wszechświata, kiedy, nie wiadomo w zasadzie skąd, zjawily się nienawistne szczypcy i nic sobie nie robiąc z potęgi magicznego kręgu, przedostały się przez niego z ogromnym impetem i jednym wszechpotężnym szarpnięciem wyrwały Marysię z wieczornej kontemplacji jak chwasta z kwietnika.

Do tej chwili kontemlowała w rozluźnieniu umysłu i odczuwała bez oceniania mądrością nierozróżniającą, nikomu nie wadziła, pilnowała własnego nosa, nie nosiła w sercu złych zamiarów. Miała, to prawda, w grafiku czerwonym długopisem rozpisana całkowitą anihilację wszechświata, ale zadanie to wykonać postanowiła z powodów szczytnych i szlachetnych, a nie w nerwach jakichś, w amoku. Teraz natomiast, postawiona pod przysłowiową ścianą, zaprzęła do roboty Gniewną Miłość.

My, ludzie o małych sercach, szarogród człowieczeństwa, o miłości znamy tylko pieśni, piosenki i przeboje. Sami nigdy jej nie uświadczylismy, a wypowiadając się o niej, mylimy ją z różnego rodzaju przywiązaniem, pragnieniami, żądzą lub otumanieniem feromonowym. Wyjątkiem zdaje się być miłość matczyzna, miłość bezwarunkowa, która dla dziecka swego ratowania własnego życia oddać się nie zawaha.

Szczypcy owe okazały się niczym innym jak tylko wierzchołkiem rozwścieczonego pyska Grupy Szachmat, co ulepiony z najczarniejszej ciemności i skłębiony jak chmury na graniach, dopadł w końcu swą zdobycz i chwycił ją w obnażone kły. Oczy jego bieleją niczym lodowiec, a spienione bałwany śliny tryskają z niewidzialnego gardła, które gotowe było połknąć, pochłonąć znieawidzoną do cna Marysię Cmentarz.

Żarzy się niebo na zachodzie Życia, a na jego tle rosnący w potęgę Szachmat się odcina. Opity krwią galaktyk, napełniony energią Chi, którą cała, do ostatniej kropelki wyssał, zagrabił i nasączył szkodą. Rośnie jego cień, gdyż cieniem samym jest tylko i nie ma w nim ciała z mięsa, żadnych ścięgien, żadnych mięśni ani kości nawet. Napompowany, nabuzowany złem, perfidią, chęcią niszczenia, wniwecz obracania. Szachmat łzami napojony, lecz wciąż niezaspokojony, będący uosobieniem nikczemności i okrucieństwa. Wznosi się ponad roztocz morza – kiedyś pełnego nieodkrytych tajemnic, teraz już martwego, zawiesistego, bezrybnego.



Szachmat przeogromny, wypełniony po brzegi pychą i dumą, jest już wielki tak, że zasłania słońce. Ostatnie słońce na niebie czło-

wieka. Szachmat to zaćmienie, wieczna ciemność, wichur mroźny i pustynia popiołów. Uganiając się za Marysią Cmentarz, tak jakoś – trochę przez nieuwagę, a trochę przez porywczy charakter – całe życie, bez mała, we wszechświecie zamordował.

Rozgniewała się z powodów Szachmatowych wybrków bogini wszystkich bogiń, Marysia Cmentarz, gdyż nie tak umierać miał wszechświat podług jej planów – w cierpieniach i skowytach zaśpiewach. Skonać miał wszakże w pokoju ducha, oczy zamykając, jakby do snu się układał na poduszce. Śmierć jego winna wynikać z aktu miłości najprawdziwszej, takiej, która lepiej wie, co dla nas jest bardziej pożyteczne.



Konanie, wbrew pozorom, równie ważne jest jak życie, gdyż tylko myśl o wiecznym zmierzchu, przeczucie własnego końca sprawia, iż istnienie nasze wartość samą w sobie stanowi. Dla chwil krótkich żyć nam wypada, tych pełnych walki, uniesienia, miłosnego zakochania; takich, w których na szale rzucamy wszystko, co mamy, gdyż wtedy tylko żyjemy pełną pierśią. Reszta – miesiące nudą naznaczone, ciągnące się jak flaki z olejem i prawie takie same, że ich od siebie nawzajem nie idzie odróżnić – splunięcia nie są warte, a co dopiero zgonu. Lata niekiedy całe przed oczami umysłu przelatują, niczym majaki jakieś, sny mgliste, niewyraźne, bez smaku i zapachu.

Tylko wieczna wojna własna, z samym sobą potyczka, przebywanie pośród gór i wyzwań sprawia, że życie skarbem najdroższym się staje. Tylko momenty pełne napięcia, transformacje, przewyciężenia – oto życie ukochane.

Przeto Marysia Cmentarz spoglądając oczyma mądrości gniewnej na nasz współczesny świat – naszprycowany sztuką nowoczesną, przesiąknięty tandetą i z flaneli uszyty – dojrzeć mogła jedynie nudę, zmęczenie i podkrążone oczy. Widziała ziewanie, drapanie się po głowie i wieczne utyskiwanie i postanowiła, w swym sercu litościwym, przynieść temu światu ukojenie. Zamknąć mu oczy, przymknąć powieki żelaznymi monetami, zaśpiewać ostatnią kołysankę. Zabrać powietrze z płuc i niechby się biedaczyna zadusił. Kilka zaledwie krótkich minetek i skonał byłby cały wszechświat w spokoju, pod pierzyną niespełnionych marzeń. Stary, zmęczony własnym życiem, wszechświat, któremu nie wyszło, nie poszczęściło się. Tak sobie w głowie Marysia wszystko ułożyła i zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach, a tu nagle zjawił się Szachmat i Marysię uprzedził.

## Mroczny Kuracjusz

Pastorał Rezowiecki leżał w łóżku, ciężko chory. Nie pomogło biczowanie pokrzywami ani bańki, ani nawet wizyty szeptuchy ze

Zwiędłej Gromnicy. Najstłynniejsi znachorzy, cudotwórcy i czarownicy odprawiali modły, składali ofiary z zajęcy i puszczały mu krew. Wszystko nadaremno. Zaniemógł strasznie wszechświata władarz i nic nie chciało go do zdrowia przywrócić.



W końcu, by króla Patroszyńskich od śmierci nieuchronnej uchronić, zawezwano Lewiatana, który przyleciał swoją prywatną awionetką. Cóż to, proszę państwa, był za samolot! Wielki jak sto- doła, wypełniony wodą święconą aż pod sufit, a w wodzie tej japoń- skie ogrody, pole do golfa atomowego, dwie dragernie lustrzane, trzy ludzkie siekarnie i dziecięca rzeźnia. I to tylko na parterze! Bo na pięterku zainstalowano kasyno Czarnych Dusz, torturobajecznię z niespodzianką, krwawą dojeżdżalnię i dwa Psie Kościoły.



Lewiatan – baron na włościach i zamkach licznych, a panujący w podwodnych krainach – chłopów swoich batem chłostać kazał i po mulistych polach ornym przeganiać, przygarbionych, pokurczonych, przyklejonych do pługów, coby mu zgniliznę najszlachetniejszą w smaku dniami i nocami uprawiali. Żołnierze jego – z władczych klanów pochodzący – nie znają innej radości niż wojna, waśń i rozbój. Żądza władzy ich przewodnikiem, a zawiść – motywacją.

Najświętsze przepowiednie zapewniały co prawda o tym, że nadejdzie taki dzień, kiedy jeden z najbardziej znanych pośród mesjaszów mieczem z pochwy wyjętym Lewiatana w łeb trzaśnie i tym samym go zabije, ale czas mijał, płynęły eony, wszechświat konał, a meszaz nie nadszedł, więc pewnie miecz mu zaśnieździł albo śpi gdzie pijany.



Lewiatan, najstarszy spośród lekarzy, wylądował na lotnisku w Ustroniu Bezbożnym. Jego prywatna awionetka, rozpędzona konkretnie, jebła o asfalt i zupełnie go stopiła, tryskając spod kół czarnym, gęstym wrzątkiem. Nic się z lotniska nie ostało i trzeba było straż pożarną wezwać, żeby wodą z polewaczek powstrzymać rozścieszoną pożogę. Na lektyce wykutej z kości świętych wleczono więc Lewiatana przez pogorzelnisko.



Początkowo wszystko układało się jak najbardziej pomyślnie. Potężny Lewiatan porwał z miejsca Rezowieckiego w przyozdobione pierścieniami i złotymi obręczami macki i trząść nim rozpoczął, próbując w ten właśnie sposób wytrząchnąć z niego choróbsko. Bransolety dzwoniły wtenczas dziwaczne w swych konstrukcjach rytmy, rytmy nawiedzone i przesiąknięte złem.

Wypadałoby w tej chwili napomknąć choć tyćkę o tych złowieszczo dzwoniących bransoletach, gdyż to właśnie bransoletami owymi kardynałowie, biskupy i papieże zdobyli sobie przychyłność władcy głębin. Na każde urodziny dostawał Lewiatan w prezencie złotą obręcz, a pod choinkę bransoletę. Kosztowały te prezenty strasznie dużo pieniędzy, ale Watykanowi i tak się opłacało. To przecież dzięki pomocy Lewiatana i jego mocom udało się papieżstwu osiąść władzę nad bogobojną ludzkością. I być może sam Lewiatan bez trudu wyłęcz mógłby z głębin i zalać świat człowieka mulem, a tym samym go zniewolić i kłopotów mu przysporzyć, ale, na szczęście dla ludzkich możnowładców i samego Rezowieckiego, posiadał całe mnóstwo własnych problemów.



Odwieczne knucia i spiski na podwodnym dworze, lordowskie klany bezustannie jątrzące, zachłanne na przywileje, klejnoty i władzę, robiły wszystko co w ich mocy, by życie wielkiego Lewiatana uprzykrzyć. Bo cóż z tego, że koronę na węzowym łbie obnosił i mieszkał w wytwornych pałacach, skoro knowania i wojny domowe szarpały mu królestwem bezustannie.

Jego pomroczna wielmożność – Pastorał Rezowiecki – dygotał, spętany w lekarskim uścisku. Usta jego rozwarł na oścież, z gardła wypada obszłizgłe robactwo. Mrowie całe, dziesiątki tysięcy robaków z wnętrza swojego wyrzygiwać rozpoczął strumieniami, kaskadami, wodospadami.



Po latach dopiero, badając uważnie ten moment pamiętliwy, gastroenterologowie światowej sławy stwierdzili zgodnie, jakoby wymiocina ta wydostawała się wprost z głębi Pastorałowej duszy i nie miała nic wspólnego z zawartością jego żołądka.

Zapisane w podaniach ludowych, wiejskich bajaniach i zawierających wiedzę tajemną natchnionych pismach – których to studiowanie zapewnia wzrost duchowy oraz samorealizację – znaleźć można podobne do tego opisy. Zaświadczają one, jakoby wyrzygiwanie robactwa obrazowało oczyszczanie się duszy, a co za tym idzie, oznaczało, że adept wspina się coraz wyżej, podążając niestrudzenie aż na sam szczyt poznania.

Czyżby więc Pastorał Rezowiecki wspinał się na sam szczyt poznania? Cóż takiego mógłby poznawać? Czy duszę jego dało się w ogóle oczyścić? Wszakże zbudowana była z nienawistnego lodu, wykuta w nieczystościach, jej korzenie sięgały otchłani. Zło we własnej osobie specjalnie przybyło, ażeby produkcji Pastorałowej duszy doglądać. Przeto pasterzem byłże on niebezpieczniejszym od całej sfory wygłodniałych wilków. Lękać się należy – i w dodatku słusznie – takiego pasterza!

Zrodzony z krwi Patroszyńskiej, naznaczony piętnem domu Majcher, wyniesiony do uwielbienia i wspomagany przez siły nieczyste, Mag Czarny pośród Głodnowątrobianych, nigdy nie studiował traktujących o samorealizacji książek, nie interesowały go altruizm, empatia czy innego rodzaju zaraza umysłowa. Linia życia włodarza wszechświata – z konieczności samej – wydawała się podążać w przeciwnym zgoła kierunku. Nie ku rozpoznaniu własnej natury, ale ku żądz najdzikszych upustom Pastorał Rezowiecki się kierował.

Co takiego zatem się stało? Jakiś glitch w matriksie? Być może buddyjscy hakerzy wjechali mrocznemu mistrzowi do czapy i wgrali mu kilka terabajtów współczucia? Może Dobro go opętało, zniewoliło swoją mocą?



Nawet mistrz ceremonii, król węży Lewiatan wydawał się być zakłopotany, nie dowierzał, myślał, że w pośpiechu po prostu pomylił zaklęcia, rozhuścił pacjenta nie w tę stronę co trzeba, a nawet wątpić począł w swe magiczne moce.

Chwila ta – zakrojona na wielką miarę, swego rodzaju konstelacja historyczna – zjawiła się bez pytania, tak jak każda inna chwila. Szkopuł jednak tkwił w tym, że była to chwila wiekopomna. Malarze przyszłości zaklinać będą ją w obrazach, poeci w słowach, muzycy arie pisać będą, wychwalając ją, żeby nigdy nie przeminęła, a trwała wiecznie, ku pocieszeniu potomności. Chwile tego typu zdają się wyznaczać nowe trendy, powodują, że rzeczywistość podąża w tym, a nie innym kierunku.

## Smak Pierdolca

Marysią Cmentarz targwały wściekłe szczypce, niewidzialne zęby największego pośród wszystkich demonów. Co tam jakieś Lucyperry, Belzebuby i Rokity, kiedy na horyzoncie zaczyna majaczyć Grupa Szachmat! Strzygi, wilkołaki i wszystkie utopce razem wzięte do kupy z miejsca zesrałyby się i zemdlały, jak by tylko choć zapach Szachmata w nozdrza chwyciły. Zapach krwisto-mroźny, stęchły. Duszny, ale świeży. Zapachu tego nie da się opisać, gdyż nie można go do niczego porównać i tylko na potrzeby chwili, używając niedoskonałego języka, za pomocą nieudolnego pisarstwa, próbuje się go przywołać do wyobraźni.

Historia wydaje się być obojętna na pragnienia jednostki, jakkolwiek by one nie były szlachetne. Wciąga ona w swoją brutalną grę, w której liczy się tylko i wyłącznie siła, a wszystko, co przeżyte, niedzisiejsze – wypluwa, rozdeptuje butami. Komu przypadła w udziale dusza krnąbrna, nieposkromiona, temu nigdy nie będzie dane zaznać spokoju.

Ręką Przeznaczenia zapisano scenariusz przedstawienia najważniejszego, rozgrywającego się na deskach teatru Istnienia. To, co widzieć gołym okiem, to jedynie iluzja, swego rodzaju oszustwo. Tak, jak oglądając film w kinie, przenosimy się w wymyśloną, nieistniejącą rzeczywistość i ulegając złudzeniu, podążamy za migającymi obrazami, tak samo wydaje się nam, że nasza własna rola w spektaklu Życia posiada jakiegokolwiek znaczenie.

Przeznaczeniem Grupy Szachmat było życie wszechświatowi odebrać. Po jego wojazach nie zostało się zbyt wiele. Ot, jedna Droga Mleczna, niczym mała, samotna łajba rzucana sztormem po ogromie martwego oceanu.

Przeznaczenie kształtuje losy wszechświatów. Wszelkiego rodzaju Szachmaty, Rezowieckie i Cmentarze są jedynie Przeznaczenia narzędziami. W ten właśnie sposób wypełnia się wola niczyja, a wszelkie plany, jakkolwiek wielkie, płoną na stosie Losu.

Bo Los wszechwładny jest władcą najcichszym. Ilu to już Historia zrodziła śmiałków, postaci buńczucznych, odważnych, lecz przede wszystkim nieostrożnych, co przechytrzyć próbowali Los, ale Los przechytrzyć się nie dał. Czyżby więc teraz, w tych czasach końca, kiedy Los jest już przynajmniej leciwy i być może lekko przygłuchy, niedowidzący – bogini wszystkich bogiń, Marysia Cmentarz, zdoła rękę jego nieugiętą zmusić do kapitulacji? Wie przecież dobrze o tym, że właśnie pisany jest jej koniec, widzi wyraźnie, co jej zgotował Los. Została zaskoczona i stoi teraz, bosa, na wpół naga, na szklanej pustyni, wykutej ongi młotami ślepców, w kuźni u samego Azathotha. Naprzeciw niej, w pełnym bojowym rynsztunku, obżarty po brzegi i kipiący splugawioną energią Chi, stoi naładowany przekleństwem twór, zlepek nienawistny, swym lodowatym oddechem uśmiercający wszelkie, najdrobniejsze nawet, przejawy Życia – Szachmat.



Lecz ta drobna i niepozornie wyglądająca dziewczynka – której niewyobrażalna wręcz uroda bez trudu potrafi zwieść najmądrzych pośród rasy ludzkiej – skrywa w sobie pierwotną zadzierzystość rebeliantki – urodzonej przeciwko wszystkiemu, co małe, tchórzliwe i przez to również okrutne. Ona – bogini wszystkich bogiń, wielbiona w modlitwach i pieśniach na przestrzeni wieków w najgłębszych zakamarkach kosmosu. Oczy jej nasiąknięte mądrością, ciało wyciosane w czarnym marmurze, włosy skrzące afrykańskim słońcem. Krew w jej żyłach dzika, umysł otwarty, wiedza nieprzebyta.



Mimo delikatności swojej natury, Marysia przejawia wrodzoną skłonność do bitki. Lubi czuć smak krwi w ustach, a jeszcze bardziej lubi krwi upuszczać. Kroczy swoją drogą, sprawnie omijając prawo



i obyczaj, w proch obracając wszelkie konwenanse. Do walki – jak przystało na wojowniczkę jej kalibru – staje tylko wtedy, gdy zostaje do niej wyzwana przez przeciwników silnych i władnych, nigdy przeciw słabszym. Walk takich nie motywują gierki rozwyrzonego ego.

Mordercami, knowającymi w ciemnościach fałszu prześladowcami i bandytami Marysia jedynie gardzi. Nic więc dziwnego, że zachwiało pewnością Szachmata, kiedy ni kropki strachu dostrzec nie zdołał na malutkiej twarzy bogini. Biła z niej natomiast dziwnego rodzaju bezceremonialność.

Trudno jest nam dojrzeć, co tak naprawdę wydarzyło się w sercu Marysi. Światło zapisków historycznych wydaje się być na to zbyt słabe, przepalają się żarówki kronikarzy, tajemnica odcina prąd, rozładowują się baterie poznania. Im wyżej się wspinamy, wbiegamy po prowadzących na wyżynę duszy stopniach, odnajdujemy tam tylko samych siebie, a ten, który się wspina, znika zawstydzony. To rzekłszy, najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem dla wkrótce mających się rozegrać zdarzeń wydaje się być wstąpienie Marysi na wyżynę własnej duszy. Tak oto manifestuje się przed nami jej osobiste spełnienie.

Odmienne zaś przedstawiała się kondycja umysłowa Szachmata. Jakieś przygnębienie, dziwna i zupełnie wcześniej mu nieznaną troską wzała się w ciało demona głęboko, aż po same trzewia. Zupełnie jakby zdołał finalnie pojąć jątrzące się w nim przez mnogość wieków nienasytanie. Zrozumieć, iż nigdy nie zazna satysfakcji, że wiecznie będzie mu mało, że ten szaleńczy wir krwawego polowania, w którym beznadziejnie się pogryzał, nie przyniesie nigdy ulgi czy wytchnienia. Roznieci jedynie niemożliwe do spełnienia pragnienia.

Pragnienia nieokiełznane, rozszalałe, rozdmuchane miechem gwałtu zabiły w końcu demoniczny rozum i stały się krwawym suwerenem jaźni. Tam, gdzie emocje przejmują władzę – choćby działo się to w najsilniejszym królestwie – sprawy nie mogą ułożyć się

pomyślnie. Tak jak piorun w jednej chwili potrafi bez cienia trudu uderzyć z zasnutego chmurami nieba i wniwecz obrócić trudy wielu lat pracy ludzkich rąk, tak i zerwana ze smyczy emocja zamienia domostwo umysłu w ruinę. Gdzie brak trzeźwej, zimnej oceny, tam rozpacz i zgrzytanie zębów rozbrzmiewają zgodnym chórem. Dla tych, dla których roztrzaskują się lornetki i lunety, nie pojawi się na horyzoncie zbawienna latarnia morska. Pozostanie im tylko ciemna topiel, głębia bez dna, ostateczne pograżenie się w odmętach szaleństwa.



I tak właśnie na nic się zdała moc pradawnego demona. Utkany pieczołowicie z najprzedniejszego nienawistnego sukna, zawierający w sobie wszelkie plugastwo i wstręt, nabrzmiały ohydą, tryskający

jadem i będący kwintesencją zła – Szachmat utracił zdolność kalkulacji i przewidywania. Przestał być mistrzem w szachach, a stał się zwyczajnym szaleńcem.

Wybucho nagle, jak niewypał, rozrzucając dookoła swe trujące odłamki. Jest to atak ślepy, pozbawiony taktyki. Szachmat zachowuje się tak, jakby sam nie wiedział, co jest jego celem, jakby zapomniał o swoich własnych postanowieniach. Oczywistym jest to, że zniszczyć chce Marysię Cmentarz, ale zapomniał był dlaczego. Tak to bywa, kiedy rozum w siną dal odplywa.



Rozsądek i logika ustępują miejsca hulance pierdolca, a chore, wykrzywione potwornie żądze ruszają przed siebie niepohamowane,

tryskając soczystością jak dojrzałe jabłko spod siekaczy. Taka jest już istota popędów, że zawłaszczyć potrafią i umysł we władanie przejąć, a potrzeba im na to zaledwie krótkiej chwili.

Czasami w jednej sekundzie stracić można nagromadzone przez wieki bogactwo. Jest to precedens dobrze znany z kart historii i ogólnie dość powszechny. Nie wypada nam tego ani pochwalać, ani poddawać krytyce, tylko w miarę beznamiętnie obserwować, a następnie uczynić wszystko co w naszej mocy, żeby zdać z zaobserwowanych zdarzeń dość szczerą relację. Bez zbędnych podnieceń i uniesień, co zazwyczaj nie bywa zadaniem łatwym.

Ze zdziwieniem, a czasami nawet zgrozą, zauważamy wtedy, jak prastare i mocarne okazują się emocje, jak potężny jest gadzi mózg. Otula nas dreszcz trwożny, kiedy odkrywamy przerażającą prawdę o nas samych, o tym, że i my – tak jak i Szachmat – moglibyśmy, bez najmniejszego trudu, dać się porwać furii, namiętnościom i urojeniom, a następnie skończyć marnie, niczym zagubiony w emocjonalnej mgłę statek – roztrzaskany nagle o twarde skały rzeczywistości. Jesteśmy przerażeni, zdając sobie sprawę z faktu, że potęga namiętności nie podlega naszej woli, jest od nas niezależna i – co najgorsze – o wiele od nas silniejsza.

Ruszył Szachmat, szarżując jak zwiedziony czerwoną płachtą byk, jak lunatyk, jak pożar. Spalić jednak postanowił przede wszystkim samego siebie, istnienie własne w zgliszcza obrócić. Nagromadzone w nim trucizny dojrzały tak, jak dojrzewają winogrona. Było to szaleństwo miękkie i pełne aromatu, zapychało usta mięszem pojebania najwyższej jakości.

Wydarzenie tego typu, jeżeli już się w życiu pojawia, to tylko ten jeden raz i nigdy już nie powraca. Jest jak eksplozja, w której spala się nie tylko sama emocja jako paliwo, ale i osoba tą emocją ogarnięta – w tym wypadku potężny Szachmat.

Być może – jak zastanawiać się później będą długimi godzinami

wybitni znawcy psychiki demonicznej – jeżeli sytuacja taka spotkałaby demona mniejszego kalibru, gdyby na jego miejscu znalazło się jakieś pomniejsze licho, jakaś drobna zmora, młoda strzyga, świeży utopiec – to doszłoby co najwyżej do lekkiego zawirowania po ciemnej stronie mocy.

Ale Szachmat to znakomitość o gorących zmysłach, arcydzieło sztuki złowróźbnej, Alfa i Omega szataństwa. To demon pierwotny i jest on gotowy, by porwać się na każdą zuchwałość. Szachmat jest jak grom – poraża, spada znienacka. Szachmat jest dzieckiem artystów sztuki przeklętej, twórców Lustrzanego Wszechświata. Szachmat zaprojektowany został w miejscu, gdzie nie istnieje Czas, a o Przestrzeni nikt jeszcze nie słyszał. Szachmat jest wykonawcą woli starodawnej, nieprzyjaznej człowiekowi ani żadnym innym zwierzętom.



I tak, jak Rezowiecki okazuje się być tej woli rzecznikiem, tak Szachmat przybył, by ją wypełnić.

Marysia Cmentarz stała w bezruchu. Nagość jej ciała odbijała się w przeklętych lustrach, z których zbudowano pustynię antyistnienia. Oczyma swojej duszy widziała wyraźnie, jak bijący z demona podmuch rozwiewa wszystkie wersje rzeczywistości, migoczące upiornie niczym świece w ciemnej piwnicy. Królowa martwego wszechświata, zamordowanego w sposób haniebny i uwłaczający jej władcemu statusowi, pozbawiona własnego królestwa, stoi na rozstaju, mający przed nią najtrudniejszy wybór, jakiego będzie musiała dokonać.



Kto z własnej woli rezygnuje, ten na zawsze już pozostanie niewolnikiem: służyć temu, czemu wolę swoją oddał. I tak właśnie

wszchemocny, jak dotąd, Szachmat składa wolność swojego wyboru na ołtarzu rosnącej z każdą sekundą żądz. Nie ma w nim możliwości oceny, nie podejmuje już żadnych wyborów. W duszy trzępocą nietoperze szaleństwa, niewidzialna ręka popycha go w przepaść choroby psychicznej. Majstersztyk, twór jubilerów z zaginionego miasta R'lyeh, ikona wśród demonów, zwieńczenie i apogeum zła, został ujarzmiony przez własne pragnienia.

Pragnienia owe, pod postacią bijących z wściekłą siłą gejzerów jadu, milionów much, szarańczy i innych insektów, runęły w kierunku Marysi Cmentarz. Lecz ona, miast się bronić, ku pomocy przywołać dobre duchy, wróżki i nimfy wodne, zamiast okryć się prochowcem utkany z ochronnych zaklęć, zamiast podnieść hardo miecz Gniewnej Miłości i w pizdu pogonić tę całą diabelską zbieraninę, to stała jak sierota i widać było, że sercem jej targa niezdecydowanie.

Niezdecydowanie wszelkie, jak i spowinowacone z nim wahanie i niepewność oraz brak decyzyjności w ogóle, zazwyczaj zdaje się nie popłacać i przynosi – miast sowitego wynagrodzenia, nagrody, medalu oraz miejsca na podium – klęskę i poniżenie, a co za tym idzie: upadek.

Upadały przecież królowe, księżne, księżniczki i inne damy na dworach na przestrzeni dziejów. W pięknych pałacach, służbą otoczone, na futrami pokrytych łóżach przyjmujące swych tajnych kochanków. Jadały tylko najprzedniejsze mięsa i konfitury, sztuczkami złotymi, z porcelanowych talerzy. W zdobnych sukniach paradowały przed wierną gawiedzią, udając żywe posągi, jakby ciała ich były wehikułami chwały, która to – z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu – zdecydowała się ożyć.

Podczas nocy upojnych zaś, kiedy motłoch nie widział – gdyż leżał wtedy zagrzebany w barłogach, ażeby wyspać się choć trochę i mieć siłę, by od rana w polu harować jak wół – tańcowały damy dworów w blaskach lampionów, upojone winem jak zwykle ladacznice. Dla

sportu zwykły jeździć konno, przechadzać się po ogrodach, tudzież grać w badmintona.

Osobie postronnej wydawać by się mogło, iż było to życie godne pozazdroszczenia. Jak jednak powiada mądre przysłowie: „wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć”. Tak też właśnie dobiegały końca królewskie zabawy, gdyż na dworach, w pałacach i zamkach warownych często dochodziło do spisków oraz politycznych mordów. W wyniku tychże działań królowe kończyły z odciętymi głowami. Głowy te odrąbywano lśniącymi uroczyście toporami na obleczonych w drogą sukna szafotach, przy hucznych owacjach i ku uciesze zgromadzonego wokół tłumu.

Gra o władzę i splendor od zawsze była najeżona niebezpieczeństwami, a koło fortuny błyskawicznie potrafiło się odwrócić.





Wiedziała o tym doskonale Marysia Cmentarz. Zastanawiała się, dumiała i zaglądnać próbowała w przyszłość. Sprawdzić, wy badać grunt, obwąchać nastroje, przewidzieć jeden krok naprzód przed innymi graczami i ocalić swe życie tym samym. Gdyby ruszyła z bosej stopy jak z przysłowiowego kopyta i przyjebała z grubej rury, mogłaby krnąbrnego, lecz pozbawionego rozumu Szachmata spętać swą trzeźwością umysłu i używając błyskawicznej oceny sytuacji – poderżnąć mu gardło, a później kazać wrzucić do głębokiego grobu w ciężkiej, zaspawanej spawarkami trumnie. Na dokładkę zaś grób ten zalać zbrojonym betonem i wznieść na nim upamiętniającą tę chwilę katedrę. Katedrę pod wezwaniem Marysi Cmentarz, Pogromczyni Czarnoanielskich Szachmatów.

Pragnienie chwały wirowało w mózgu bogini, wwiercało się w serce i tłumaczyło spokojnie, że chwała owa przecież sprawiedliwie jej się należy, że komuś te katedry trzeba przecież wznosić, toteż już i lepiej, żeby je wznoszono Marysi niż komu innemu.

Z drugiej strony jednak, smutne odrętwienie okrywa jej duszę. Wie bowiem doskonale, że szarżujący Szachmat jest niczym innym, jak jej własnym odbiciem w zwierciadle możliwości. Że skrywa on w sobie to, co od zawsze, od niepamiętnych czasów spoczywało również na samym dnie jej duszy. Dociera do niej, że mrowie umysłowych trucizn, tryskających właśnie z nienawistnej paszczy, roi się również w niej samej.

Gdyż wszyscy – bogowie, boginie jak i ludzie święci – ulepieni zostali rękami Ewolucji i, w rzeczy samej, niewiele się od siebie różnią. Wszyscy posiadamy nieskończony potencjał ku samorealizacji oraz własne, wzburzone morze mentalnego gówna.

Każdy z nas – tych małych i tych możnych – niesie w sobie swojego małego Szachmata i swoją malutką Marysię.



W pismach świętych i natchnionych podano dokładne opisy tego, jak potwory, smoki i bestie najróżniejsze wtrącano w przepaście wiecznej niewoli lub nawet łby im ścinano. Znamy przecież dokonania rycerzy o niedoścignionej odwadze, występujących przeciwko siłom ciemności i ukatrupiających je dokumentnie.

Jedynym więc rozsądnym rozwiązaniem dla rozgrywającego się w głowie Marysi dramatu wydaje się być zamordowanie Szachmata i uwolnienie się od jego ciężkiego oddechu. Mogłaby wtedy zapomnieć o tym, że był on jej bratem bliźniakiem, że zabijając jego, zabiła część siebie. Po cóż nosić w pamięci takie przykre obrazy? Lepiej je spalić, usunąć, wepchnąć do najgłębszych piwnic nieświadomości.

Bo czy nie robimy tego i my? Przeczujemy wszakże bestię w sercu. Wiemy, że gdyby tylko sytuacja zmieniła się diametralnie, przestalibyśmy wierzyć we własną szlachetność. Potęga otoczenia i zmieniających się z szybkością błyskawicy czynników zewnętrznych rzuciłaby nami o ziemię z taką siłą, że od razu by nam z głów wytrząchnęło dzielność, bezgrzeszność i zwiady etyczne.

Wystarczy rzucić okiem wstecz, przewertować podręczniki do historii, aby odkryć, że podczas rządów totalitarnych wszelkiego rodzaju bohaterów ziemia zrodziła jak na lekarstwo. Więcej z kolei powiła strażników więziennych i posłusznych sług, bardziej do Szachmata podobnych niżli do Marysi.



Dopiero poprzez zintegrowanie, przyswojenie sobie własnego mroku, własnego cienia, dzięki wyciągnięciu go na światło dzienne i przyjrzeniu się mu – zamiast się go wypierać lub przed nim uciekać – tylko poprzez rozpoznanie bestii w sercu i okiełznaniu jej doświadczyc możemy pełni istnienia.

A cień to nie byle jaki pod postacią Szachmata się objawia. Jest to wszakże cień całego wszechświata i zawartego w nim życia. Skompresowany, esencjonalny, niepowtarzalny cień. Można się w nim skryć przed słonecznym żarem w letni dzień, można też zostać przez niego żywcem pogrzebanym. Cień to złowrogi i zimny, cień srogi. Wydawać by więc się mogło, że rozsądniejszym rozwiązaniem dla wszechświata było zająć się problemem integracji własnego cienia odrobinę wcześniej, kiedy to jeszcze nie był aż tak jebitnych rozmiarów.

Niezintegrowany cień potrafi albowiem zaskoczyć najlepszych spośród najlepszych. Potrafi uderzyć znienacka. Potrafi też, spuszczone ze smyczy, bez kagańca, Życie zagryźć na śmierć.

Przyglądając się otaczającej nas rzeczywistości, możemy zauważyć bez trudu, iż znakomita większość ludzi jest niewolnikami swoich emocji. Ci, którym udaje się nad nimi zapanować, to plemię obecnie niknące. Większość z nas miota się i rzuca, tak naprawdę nie rozumiejąc nawet tego, kim jesteśmy.

Zrozumienie własnych emocji i oswojenie się z nimi, wytworzenie swoistej równowagi, ażeby koegzystujące w naszym umyśle subosobowości – zwane również głosami, podsystemami lub subtożsamościami – uzupełniały się nawzajem, sprawiając, że zamieniamy się w doskonale funkcjonujący konglomerat, w którym pozorne sprzeczności miast ze sobą walczyć, tworzą coś na podobieństwo legionu: wielowymiarowej, bardziej odpornej i silniejszej formy Życia – jest kluczem do wewnętrznej potęgi.



Ażeby tego dokonać, należy najpierw połączyć się z własnym cieniem, który w tym wypadku reprezentuje wszystko to, co próbujemy wyprzeć i usunąć. Części nas samych, których się wstydzimy lub nawet pogardzamy nimi.

I oto dane nam jest ujrzeć najważniejszy moment w historii wszechświata. Naszego wszechświata. Oprócz niego nie znamy przecież nic więcej. O nim samym nawet nie za wiele nam wiadomo. Dopiero co się go nauczyliśmy, a on już prawie cały umarł i zamienił się w popioły, stał się wielką popielniczką.

Moment ten charakteryzuje intensywność o tak potężnym napięciu, że postronnym gapiom gałki oczne wyparowują z oczodołów.

Nam jednak, przebywającym na lustrzanej pustyni w trybie czytelniczego incognito, nic w zasadzie nie grozi. Możemy w spokoju domowego zacisza chłonąć tę fascynującą historię i upajać się nią jak wytrawnym winem.

Przed oczyma wyobraźni widzimy, jak Marysia Cmentarz – ostatni bastion szlachetności – łączy się z własnym cieniem. Bo zrozumiała ona największą tajemnicę istnienia, rozszyfrowała pradawne oszustwo i rozplątała misternie utkaną sieć kłamstw, którą to zarzucić na nią próbował Pastorał Rezowiecki. Lecz Marysia Cmentarz spogląda jeszcze dalej, jej wzrok dosięga nieskończoności, a następnie rozbija się o nią jak o ścianę. Bo Pastorał Rezowiecki istnieje również wewnątrz niej, wewnątrz każdego człowieka. A kaganek poznania jaśnieje coraz mocniej, coraz więcej widzi Marysia Cmentarz, ostatnia bogini naszego wszechświata, wszechświata, który właśnie odchodzi i nigdy już nie wróci.



Widzi, jak płyną wieki, jak przemijają i nie pozostawiają po sobie nawet śladów. Bo gdzie miałyby te ślady pozostać? Wszystko manifestuje się przecież w pustce jej umysłu, tak samo jak szarżujący, pozbawiony władzy umysłowej Szachmat.

Reprezentuje on całkowite pogrążenie się w namiętnościach, a co za tym idzie – zupełne zniewolenie, gdyż nic nie ubezwłasnowolni nas bardziej niż nasz własny, rozwścieczony, kipiący żądzą umysł.

I wtedy dzieje się coś niesłychanego, trudnego do opisania, wręcz niemożliwego. Rozpędzony, roztrzaskujący pustynne lustra Szachmat – większy niż Olimp, ten, który zeżarł Życie we wszechświecie – wpada na stojącą spokojnie, zrodzoną ku pożytkowi wszystkich czujących istot dziewczynkę.

My, skryci na uboczu, poza kadrem, przemykając chyłkiem pomiędzy jaśniejącymi reflektorami, klucząc slalomem, aby nie wpaść na operatorów, nie poprzewracać statywów i przytwierdzonych do nich kamer, w jakiś sposób niezauważeni, przyglądamy się tej zadziwiającej scenie.

Tylko nam jest dane ujrzeć – jak gdyby w zwolnionym tempie, na zbliżeniach, oddaleniach, z lotu ptaka i nie tylko – rozgrywający się w lustrzanym teatrze dramat, który to samego mistrza Szekspira przyprawiłby o palpacje serca, a następnie przedwczesny zgon i nigdy by pióro jego nie uwieczniło tych wszystkich arcydzieł literatury, które bez wątpienia popelił.

Niepozorna, dziecięca fizjonomia, drobna budowa ciała i wzrost zgoła z czasów wczesnej podstawówki rysowały przed nami postać niegroźną, niewinną, jeszcze nie w pełni świadomą swoich kobiecych mocy. Był to oczywiście obraz przekłamany i rozmijający się z rzeczywistością.

Marysia Cmentarz zasadniczo nie przejawiała jakichkolwiek obaw, nie ogarniały ją lęki, nie śniła koszmarów, wszelkiego rodzaju

niepokoje nie miały wstępu do jej duszy. Urodziła się jako emanacja Gniewnej Miłości, a jej zadaniem było nieść pomoc i roztrzaskiwać wszechświaty. W proch je zamieniać. Cóż też zatem taki Szachmat! W czymże mógłby jej zaszkodzić?

Dlaczego zatem nic w tej sprawie nie robi? Z jakiej przyczyny stoi i gapi się na szarżującego wściekle Szachmata niczym ciele w malowane wrota? Pytanie takie samo ciśnie się przecież na usta. Jest to pytanie głupca, błazna, osoby nieświadomej tego, co się na lustrzanej scenie tak naprawdę wyprawia.

Osoba dzierżąca w dłoniach atuty mędrca dostrzega natychmiast, my – malutkie głuptaski – dopiero przy bliższym przyjrzeniu się, kiedy oczy nasze przywykną do blasku światła, dojrzeć możemy prawdziwe zamiary Marysi Cmentarz.

Bo Marysia rozumie, w sposób niezachwiany, zachowanie szarżującego w amoku Szachmata.

On sam jednak nie pojmuje już niczego, staje się zlepkiem trujących namiętności, śmietnikiem, wszystkim tym, co zostało potępione, niechciane, odrzucone. Szachmat jest cieniem wszystkich cieni, królem wszystkich złogów, ojcem wszystkich kamieni kałowych.

I tego właśnie tryskającego nienawistną śliną Szachmata bierze Marysia w ramiona, utula, a wszechmocarny Szachmat, oskarżyciel wszechświata i jego kat, ten, przed którym drżą kolana maluczkich, dostojników i władców, na naszych oczach znika, rozplywa się, wchłonięty przez boginię wszystkich bogiń, Marysię Cmentarz.

## Re-degeneracja

Pastorał Rezowiecki jebnął głową o diamentową posadzkę w domu wczasowym Zmora. Tak jakoś niefortunnie się złożyło, że wy-



ślizgnął się z lekarskiego uścisku, wymusnął się Lewiatanowi z macek i pierdolnął o podłogę.



Dla tych, którzy nie nadążają za pasją autora, przypominamy tylko, że znajdujący się w sanatorium Pastorał Rezowiecki ciężko zaniemógł, przestał się odzywać i przygasał na nienawistnym obliczu. W celu przyniesienia mu pomocy zawezwano więc Lewiatana – monarchę krain podwodnych i znamienitego znachora. Przybył on do Ustronia Bezbożnego prywatnym samolotem, po czym chwycił Rezowieckiego w swe macki i huśtał nim z całej siły, to w lewo, to w prawo.

Metoda ta – znana w kręgach czarnoksiężskich od milionów lat – uleczyć miała cierpiącego i zwrócić mu należyty wigor. Lewiatan jednak, czy to z pośpiechu, czy z roztargnienia, lub być może ze zmęczenia długą podróżą – gdyż przybył przecież z daleka, z krain podwodnych, nieznanymi człowiekowi – pomylił zaklęcia i wyhuśtał Rezowieckiego nie tak jak trzeba.

W wyniku tych nieszczęśliwych działań zrodzony z krwi Patroszyńskiej włodarz wszechświata, zwany również Pastorałem Rezowieckim, wyrzygał się wodospadami robactwa – a znak to dla czarnych magów i morderczych pasterzy zgoła niepomysłny – po czym pierdolnął z całych sił o diamentową posadzkę.

Lewiatan zaś, zamiast czem prędzej przybieżeć z pomocą i mistrza swego z podłogi podnieść, ułożyć z powrotem na wygodnym łożu, popadł w jakieś dziwne upojenie. Sapał, dyszał i oblizywał gadzie wargi, jak gdyby dusza jego napawała się widokiem ponížonego, taplającego się we własnej rzygowinie króla wszystkich wymiarów rzeczywistości.

A przecież prawo surowe, demoniczny kanon, diabelskie przykazanie wyraźnie zaświadcza o tym, że jeden jest tylko wybraniec spośród szatańskiego plemienia i jemu każdy możny świata, każdy silny, każdy demon cześć oddawać jest zobowiązany, aż do samego końca czasów.

Pastorał Rezowiecki już podczas narodzin osiągnął status boski. Spłodziła go wszakże krew faraonów, ciemność Czarnych Słońc, siły pradawne. Z Pelagii i Rezoława Patroszyńskich – największych spośród ludzkich – pochodził i z nich wziął swój początek.

Dane mu były – ofiarowane na tacach ze złota – herby Broczyckich i Głodnowątrobianych oraz moce tajemne i władza nad ludzkością całą. Życie jego zostało napisane w sposób górnotny, chwalebny, przy dźwiękach trąb i werbli. Z pompą i rozmachem napisane życie. Ani jednej kropli potu, ani łezki nie uronił. Nie skalał dłoni swoich

delikatnych żadną pracą. Nie znał trudów i mozołów, nie wiedział, co to zaciskać zęby, kiedy głód w żołądku się dobija, kiedy chłód chłoscze nagie ciało.

Inaczej zaś sprawy władzy i związanego z nią dziedzictwa przedstawiały się w wypadku Lewiatana.

Powity w nędznym barłogu – w oborze czy w chlewie, dokładnie już dzisiaj tego nie wiadomo – na uboczu cuchnącego zgniłymi rybami i innymi odpadami targowiska, z matki nisko urodzonej, zwykłej wyrobniczki, co od świtu do nocy nic innego nie robiła, jak tylko patroszyła ryby, i to nawet nie nożem, tylko pazurami i zębami.



Nie wiadomo dokładnie, kiedy i jak zapłodniło ją szatańskie nasienie, co z ryby jakiej wyleźć musiało. Przedostało się ono do wnętrza tej biednej, umęczonej życiem kobiety i sprowadziło na nią śmierć. Lewiatan bowiem urodził się tak wyraźnych rozmiarów, tak dorodny, zdrowy i przystojny, że matuli swojej nie tylko brzuch, ale całe ciało na strzępy rozerwał. Zaraz się ludzie z wioski zlecieli, żeby na własne oczy ujrzeć czorta i antychrysta, który to właśnie w tę bezksiężycową, przeklętą lutową noc się narodził.

Przy zakrwawionym, obrzuconym wyprutymi flakami i ludzką marmoladą niemowlaku przyklękła najstarsza we wsi baba. Znane były o niej opowieści i krew w żyłach mrozące historie, szeptem tylko rozpowszechniane, chyłkiem, po kątach. Podobnież trzy tysiące lat z hakiem już tu w okolicy żyła, a pamiętała jeszcze czasy, kiedy ludzie jak mały wyglądali, a żarli kamienie i gnój, bo nic innego nie było.

Nie wiadomo, czy dawać wiarę takim podaniom, ale jak wiadomo w każdej tego typu legendzie znaleźć można ziarno prawdy. Starucha, co nie posiadała żadnego imienia, a porozumiewała się w sposób dziwny i nieobyczajny – chrząkając i wykonując lubieżne gesty – zaraz wszystko zebrany dookoła wieśniakom wyjaśniła. Okazało się wtedy, że świeżo narodzone dziecko to najprawdziwszy antychryst, i że trzeba go natychmiast zawinąć w parciany worek, obłożyć młyńskimi kamieniami i utopić w morzu.

Jak rzekła, tak uczyniono. Ogromne w rozmiarach, koszmarnie zniekształcone dziecko – jeden wieśniak doliczył się osiemdziesięciu pięciu rąk i czternastu nóg, a był to wieśniak obeznany w rachowaniu, jako że zarządzał całym inwentarzem samego sołtysa – zawinięto w parciane worki.

Dwadzieścia worków trzeba było dratwą szewską zszyć razem, bo by się inaczej noworodek nie zmieścił, gdyż sama głowa była tak duża, że jej czubek przebił dach obory. Zadanie zawijania też nie należało do najłatwiejszych, jako że dzieciak wierzgał nogami i walił

z bani, w wyniku czego życie postradała przynajmniej połowa wsi. Dopiero jak zjawił się kowal – chłop na schwał – z ogromnym jak dzika świnia bicipsem u prawej ręki, sytuacja znalazła się pod kontrolą. Jebnął on otóż młotem raz a dobrze i zaraz dzieciak przestał dokazywać.



Tak ogłuszonego noworodka zawinięto skrzącnie w pozszywane ze sobą parciane worki, obłożono kamulcami i zawleczono nad skarpę, gdzie woda była głęboka na przynajmniej czterdzieści sążni, a prądy porywiste. Rozochoceni wieśniacy zepchnęli niechciany toból w odmęty i wrócili do wioski, aby pogrzebać umarłych.

Miejsce narodzin antychrysta spalono i nikt już nigdy o tym niefortunnym wydarzeniu nie wypowiedział ani jednego słowa. Ludzie po prostu najnormalniej w świecie chcieli o nim zapomnieć i trudno doprawdy im się dziwić.

Prąd silny porwał worek parciany, obciążony trzydziestoma młyńskimi kamieniami, z których każdy ważył najmniej cztery cetnary. Nie wiadomo, skąd się ten prąd podwodny zjawiał i czy go przypadkiem moce diabelskie nie naraiły, bo któż to widział, żeby tak ogromny ciężar po dnie morskim, pośród piachu, skał i wodorostów, tak chyżo przeturlać? Bo prąd rwał przeraźliwie, jak gdyby w jakimś opętaniu, szurał kamulcami po dnie, aż się z tego wszystkiego worek parciany przetarł i noworodek – świeżo co nieochrzczony antychryst i uwodziciel, z miejsca zaczął przebierać swoimi licznymi kończynami i płynął wartko niczym ryba głębinowa.

Blady księżyc wpłynął na zimowe niebo i rozświetlił mętne tonie. Jak by ktoś wtenczas się odważył zerknąć pod wodę, to ujrzałby widok nie z tego świata, niemożliwy do wytłumaczenia. Otóż, wbrew wszelkim prawom bożym i naukowym, dziecię owo, ten niechciany przez nikogo czarci pomiot, w okamgnieniu zmieniać się rozpoczęło w ohydny niby-płaza, niby-potwora. Poodpadały i oderwały się od dziecięcego kadłuba nóżki i rączki, główka w łeb pancerny się przepoczwarzyła, a oczy – ślepie raczej – mrok podwodny rozświetlały jak dwie rozjarzone pochodnie.

Długi, sprężysty, utkany z mięśni wyjątkowo twardych, obrośnięty śliskimi mackami, założył pod wodą królestwo i ściągnął do niego wszystkie morskie demony. Nazwano go Lewiatanem i pokłon mu oddały nawet syreny i rusalki.

Jakie siły bluźniercze sprowadziły Lewiatana najpierw na ziemię, a później do morza, tego nie wiadomo. Wiadomo jedynie, że w trudzie i znoju imperium swoje wznosił. Pierwsze tysiąc lat błakał się samotnie po dnie, żarł martwe małże, zgniłe homary i kraby. Samiusieńki się pętał po podwodnych bezmiarach, w zimnie i niedostatku.



Eony mijały, królestwa na ziemi powstawały i upadały, pijany krwią niewinną Pastorał Rezowiecki płał się w luksusach, a Lewiatan, cegła po cegle, kamień po kamieniu, potęgę swoją wznosił, aż stał się silny i wszechwładny pośród głębi oceanów, a nawet, niekiedy, dyktował warunki ziemskim wielmożom – statki im topił, powodzie zsyłał, jego obslizgłe służebnice wylażyły w nocy z wody i w ruiny obracały portowe dzielnice.

Zatrząsł się wtedy człowiek ze strachu przed wielkim Lewiatanem, przeraźliwym hegemonem, co w herbie swoim obnosił podobizny Krakena i Behemłota. On – antychryst z urodzenia, a potwór morski z przeznaczenia, wieczny buntownik i okrutnik – władzę musiał wygrzyźć z gardel swoich przeciwników politycznych.



Przez to, być może, żywił do tej władzy tak ogromną miłość i upajał się nią delikatniej, bardziej czule.

Pomimo że bardziej przypominał chama niż króla – gdyż ciężki był w obyciu, sprośny i lubieżny – to było w nim coś tajemniczego, urzekającego wręcz. Każdy, kto tylko na niego zerknął ukradkiem, zaraz wypuszczał kał w bieliznę, a czynił to z niepohamowanego zachwyty.

Jakimże mrokiem zaćmiewa nas sława, nadmierne o sobie mniemanie! Niech się strzeże ten, kto w czasach triumfu zapomina o własnych ułomnościach! To zuchwałość zwykła sprawia, że nie dostrzegamy, nie słyszymy szybkich, energicznych kroków, którymi Życie



odchodzi od nas, umyka i nigdy, ani przez moment, nie zwalnia. Czyż nie poucza nas historia, że to, co wznosi się do chwały, upada w końcu, a im większym się staje, im wyżej sięga, z tym większym hukiem i mocą roztrzaskuje się w ruiny? Takie to już losu zrządzenia i prawo wiecznego przemijania, że wszystko okazuje się nietrwałe i ulotne.

I tak też potęga Lewiatana – choć trwała lat długich tysiące – dożyć musiała do swego końca. Bo wszystko, co się urodzi, umrzeć musi. Bieg życia Lewiatana rozpoczął się na śmierdzącym targowisku i toczył się odtąd nieprzerwanie, bez wytchnienia, skrupulatnie przesuwając swoje wskazówki po tarczy zegara.



Nagromadzona z takim trudem i znojem potęgą, kosztowności oraz w kamieniach szlachetnych wykute pałace na nic się nie zdadzą, kiedy śmierć kosturem zastuka we wrota. Wtedy dopiero, kiedy już jest za późno, spływa na nas zrozumienie, a bezcenneść czasu jako wartości najwyższej zostaje nam całkowicie ukazana. Tak działo, dzieje i dzieć się będzie. Tak również się stało w przypadku możnego Lewiatana, monarchy na dworze Zgniłej Nadziei.

I tak oto spotkał go los gorszy niżli bezpańskiego psa, co snuje się głodny po zakurzonych gościńcach. Zabrano mu i chwałę – którą w sercu plugawym z dumą obnosił – i królestwo całe również, bo anioły nienawiści powstały z piekieł i żelaznymi klingami zaciukały podwodny dwór.

Z zamków warownych wywlekły rybich magnatów, szlachciców i księżne i wypruły im flaki, zamieniając ulice Zgniłej Nadziei w krwawe rynsztoki. Dokumentnie, do ostatniego dzieciaka, wyróżnięto wszystkich w pień, sztandary i pięknie wymalowane herby Krakena i Behemłota spalono, a w popioły nasrano.

Jakże, można by zapytać, do tego doszło? Kto wydał rozkazy? Skąd nienawistne anioły siły tyle w sobie miały, żeby podwodną potęgę w gruzach zostawić? Ano, ugiął się Lewiatan pod ciężarem swej wielkości i upadł sromotnie. Moment zdecydował o upadku, chwila krótka, niewłaściwa decyzja. Sam na siebie przekleństwo sprowadził, a uczynił to następująco.

Gdy mu się – zupełnie niefortunnie, podczas niesławnego zabiegu lekarskiego w domu wczasowym Zmora – z macek Rezowiecki wysunął i z powodu tego zarył japą we własne rzygi, uroił sobie wtenczas Lewiatan w głowie, że nadszedł oto koniec rządów Głodnowątrobianych, władzy Rezowieckiej zmierzch, i że teraz on – Lewiatan – przejmie władzę nad wszechświatem.

Był to oczywiście błąd, tudzież zwykły majak, gdyż Pastorał Rezowiecki rządów nad wszechświatem wcale nie oddał, z podłogi się

podniósł – niby chybotliwie, ale z milczącą pewnością siebie, przetarł wierzchem dłoni zarzyganą twarz, a następnie kucnął i zaczął coś majstrować przy szafce nocnej. Zaraz też otworzył sekretną szufladę, wyjął z niej puzon i zadął w niego przeraźliwie. Dźwięk się rozszedł w powietrzu. Długi, dziki, niepokojem przenikający, aż się pracownikom domu wczasowego Zmora krew z uszu puściła.



Niech drży ten, kto choćby raz jedyny, podczas snu upiornego wierzając się w gorączce i rzucając po materacu, zobaczył oczyma wyobraźni nienawistne anioły! Sny takie już na zawsze pozostają w pamięci, gdyż nigdy ich się nie zapomina. Przerazenie, które wraz z nimi się zjawia, stąpając dumnie pod powiekami, jest przerażeniem innym, dostojnym. Obdarza nas szczodrze, zamasyżuje rozrzuca wspomnienia.

Lecz prawdziwe święto huczne nadchodzi, kiedy to nienawistne anioły pofatygują się do nas osobiście i w świecie jawy urządzią nam niespodziankę. Ich lodowate, wystrugane z grozy ciała najpierw tylko migoczą – jakby zamglone, niewyraźne, by następnie z błyskiem strasznym objawić się w pełnej chwale. A wielkie one, wysokie jak komin elektrowni Gres-2.



Twarze ich kanciaste, usta zatrzaśnięte ciasno, oczy ślepe, iskrzące bezbożnością, ręce długie, powyginane, śliskie i obrzydliwe, bez dłoni ni palców. Nogi ulepione z dymu czarnego, jakby z piekielnych pieców się wydobywającego, dymu żrącego, wdzierającego się w gardło i dech zatrzymującego.

Tacy to właśnie aniołowie w gościnę do domu wczasowego Zmora zawitali.

Skąd oni przyszli, z jakich to szpar i kątów zatęchłych powyłazili? Jak na co dzień żyją nienawistne anioły, czym się zajmują, czy mają jakieś marzenia, pasje? Czy uprawiają sporty, fascynuje je sztuka? Czy zakładają rodziny, chodzą do pracy? Jaki jest tam u nich wiek emerytalny?

Życie aniołów nienawistnych odmienne jest od naszego – ludzkiego, życia i nawet ci pośród człowieczej śmietanki górujący nad zwykłym pospółstwem nie byłiby w stanie pojąć zasad panujących w nienawistnym świecie. Och, jest to świat kaprawy, przeniknięty do cna podłością, do podszewki nasiąknięty okrucieństwem. Dokonania polityków i innych morderców nijak się mają do postępowej idei nienawistnego anielstwa.

Anioły nienawistne rodzą się z ognia i siarki, z dyszy stalowej na świat wypęłzają, ślizgając się w śluzie okrucieństwa. Nie mają matki ni ojca, gdyż stwarza je siła pradawna, płci jako takiej nieznająca. Same też anioły nie są ani mężczyznami, ani kobietami, ani nawet nonbinarami. Umysł – bo jeden jest tylko nienawistny umysł i nie istnieje wśród nich tak dobrze znana człowiekowi indywidualność – przypomina ogarnięte wścieklicą mrowisko, upite szalejem pszczoły. Bo pracowite są przecież i bez chwili wytchnienia wolę nienawistną we wszechświecie oznajmniają, a że wszechświat tylko jednego ma włodarza, toteż i jemu służyć zaprzysięgły i nic nam, maluczkim, do tego.

Rzeczy wielkie dzieją się bez udziału motłochu, którym bez wątpienia jesteśmy. Rzeczy wielkie przyjeżdżają na ognistych rumakach, otoczone siłą zbrojną i wyrrywają motłochowi język żelaznymi obcęgami.

Włodarz wszechświata, esencja prawości i rzecz najwyższa zarazem – Pastorał Rezowiecki – przywołał do siebie nienawistne aniel-

stwo i ognistymi łańcuchami rozkazał spętać potężnego do niedawna Lewiatana, a następnie powlec go na katorgę.

Umęczony, prętami stalowymi wychłostany, sponiewierany i przystrojony w więzienne łańcuchy, wielki Lewiatan żywota dokonał w kamieniołomach sumienia, krusząc skały ciężkim kilofem. Pośród ludzkich i innych zwierząt, tak jak i on zakuty w kajdany, na śmierć się zapracował i pomarł marnie. Zanim dech ostatni ze skrzeli wykrztusił, podli oprawcy odrabiali mu siekierami wszystkie macki, a na końcu przywiązali do słupa, obłożyli słomą i spalili żywcem.

Podobno jeden dozorca więzienny opowiadał, że „Wył i mordę krzywił od tych ogni, co mu po cielsku tańcowały, aż tłuszcz na wierzch wyciekł cały i skórę zmarszczył jak kutasa po ruchaniu”.

## **Kosmos Spustoszony**

Jeszcze żar na podwodnym pogorzeliisku się tlił, jeszcze trupy dworzan zgnić nie zdążyły dokumentnie, a już Pastorał Rezowiecki opuścił sanatorium.

Odziany prosto – we frak z cieniusięńkiego jak jedwab żelaza, spod którego wyzierał biały, ręcznie haftowany halsztuk – pełen werwy, dziwnie energiczny, zaraz rozkazał przyszykować cztery skrzynie najprzedniejszego jadła i napojów, zaprząc rącze konie do dyliżansu i posłać po woźnicę.

Czego to mu do tych skrzyń nie zapakowano! Najprzedniejsze specjały, że choćby ze świecą po najlepszych delikatesach latać i kartami bez limitu wymachiwać ekspedientom przed oczami, to i tak niemożliwym by było je zakupić, gdyż wiktuałów tego typu nabyć w sklepach nie sposób. Bo to i krwawe kiszki z niedźwiedziny, i pasztetowa z lamparta, i suszona bobrza śledziona w mrożonych truskawkach, a także kopyta czarcie w polewie miodowej. Wszystko pozawijane w prawdziwe gazety, namaszczone smalcem z proboszczów i

zakropione śliwowicą.

Rozpędu nabrał król wszechświata, poczuł się znacznie lepiej i wyruszył, nadświetlnym dyliżansem przejechać się wzdłuż i wszerz swoich włości, aby sprawdzić, czy aby wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Niczym lekarz o dobrym sercu, dbający o zdrowie podwładnych



ujarzmiciel gorączek, niczym wymiatacz zarazy i pogromca parchów, gnać rozpoczął przez wszechświat, który stanowił jego własność prywatną. Lecz im dalej nadświetlny dyliżans zapuszczał się w kosmiczne otchłanie, tym bardziej smuciło się lico Rezowieckie, jak gdyby pojąć nie mogło tego, co oczyma przez okulary przyciemniane oglądał.

Kosmiczny pejzaż, szary niczym niebo w Zaduszki, zasmucił Pastorała. Jeszcze jakby w jakimś otumanieniu, przeświadczony, że być może śni mu się tylko, że to nieprawda, rozkazywał woźnicy tłuc konie po zadach i przedziej, niby w szaleństwie, gnał poprzez równiny wszechświata.

Lecz pustka tylko, martwa pustka zewsząd go otaczała i ani odrobiny Życia w jakiegokolwiek formie nie uświadczył, gdyż wymarło wszystko, zdechło z głodu lub w potworny sposób zostało zamordowane.

Zrezygnowany włókł się powoli, kolebocąc się swoim dyliżansem po wybojach. Zmęczone konie ledwo co stępem szły, głodne i zmizerowane i zgrzytały zardzewiałe koła, jako że smar cały z łożysk wyciekł. Woźnica zasnął i spadł z zydła, a przechodząca nieopodal burza gwiazdna porwała jego ciało i rozszarpała na kawałki.

W końcu dotarł Pastorał do miejsca, gdzie rośło drzewisko o dziwnych kształtach i próżniacze z natury, gdyż owoców pożytecznych rodzić mu się nie chciało. Sterczało samotnie pośrodku zaścienionego gęstym trupem pobojowiska – całe trzy bataliony, albo i więcej, chłopca pod bronią tam leżało. Powykręceni na twarzach niemilościwie, rozdziawione szczęki, wytrzeszczone oczy; widać, że moc jaka im życie z żył wysać musiała.

Drzewo natomiast, choć beużyteczne, to liście jeszcze posiadało na sobie – żywe do tego i zielone w kolorze. Wysiadł więc z dyliżansu Pastorał Rezowiecki i na własnych nogach zbliżył się do drzewa, żeby przyjrzeć mu się z bliska, gdyż zastanowiło go ono i mocą swoją przyciągnęło jego uwagę – głupio dostojne, dobrotliwe, szumiące ckliwie, niewinnie.

Reprezentowało ono moc swoich przodków, niegdyś licznych tak, że ziemię całą udało im się przykryć aż po morza brzegi. Królestwa lasów głębokich, mocarstwa borów nieprzebranych, rozpierające się



na równinach i w dolinach tajgi, knieje i puszcze – wszystkie one ustąpić miejsca musiały żelaznej pięści przemysłu, która to wyrwała je z korzeniami i spaliła w wielkich piecach.

Rezowiecki kroczył ostrożnie, żeby trzewikiem w gnijącą masę nie wdepnąć i się nie pobrudzić. Smród straszliwy dookoła panował, trupi fetor, morowe powietrze, co wdzierало się w nozdrza bez zaproszenia. Rezowiecki jednak do zapachów podobnych był przyzwyczajony, a nawet się w nich lubował.



Głowę zadarł do góry, rozpiął się pod szyją i w milczeniu obserwował zastygłe w bezruchu konary. Dumał. Dotychczas – w jego mniemaniu – drzewa przydawały się jedynie do wieszania na nich

biednych chłopów albo innych niedołęgów. Gapił się tak dłuższą chwilę, niby zahipnotyzowany, dziwnie nieswój.

Otrzeźwiał jednak w porę, splunął z pogardą i mruknął sam do siebie: „W trupim jeziorze stoi, a zdechnąć nie chce. Jaka ta wola życia silna jest”. I tak mniemając, wyrwał z ręki martwego żołnierza topór żelazny i łomotać nim rozpoczął, wściekle o pień sędziwy uderzając.

Krwawiło drzewo bezowocne z rany świeżej, szlochało drzazgami swego ciała, wiedząc, że pragnieniem drwała jest zabić, powalić i życie zabrać. Rozhuśtane ramiona, podobne piekielnemu wahadłu, uderzały dokładnie w to samo miejsce i działaniami tymi przywozidyły ostre jak brzytwa ostrze coraz bliżej mety.

Setki lat stało tutaj, oferując schronienie i cień, lecz dwie minuty wystarczyły w zupełności, by zatrzeszczało w rozpacz, jakby z nieistniejącej gardzieli wydobyć próbowało krzyk cichy, niewspółmierny do ogarniającego je cierpienia, a następnie padło, wprost w rozpostarte szeroko ramiona śmierci.

Z hukiem, z rozdzierającym uszy skowytom runęło i z całych sił zaryło w ciała tych, których nie było komu pogrzebać. Żywica trysnęła wtedy z ogromną siłą wprost na twarz Pastorała i – jak to później wykażą historycy – zainfekowała go tym samym bezpowrotnie. Od tego momentu wszakże liczyć poczynamy ostatni okres wszechświata, tak zwany siedmiorzęd uniwersalny.

Jak się ten Pastorał zaczął wtedy miotać, szarpać, rzucać i tarzać w trupim sosie niczym pies w padlinie, za wszelką cenę pragnąc zrzucić z siebie znienawidzony zapach, smrodu żywicy się pozbyć. Sam jak palec pośród martwej krainy, która przecież była jego królestwem.

Martwe drzewo, jeszcze świeże, a już w trupach unurzane, niczym pomnik zagłady kosmosu, leżało obok w ścierwie się taplającego Rezwowieckiego, co krzyczał, pluł i mlaskał oraz złorzeczył wszystkiemu,

a najbardziej Szachmatowi, za to, że życie wytłukł dokumentnie i nie będzie teraz kogo do roboty zaprząć. Lamentował i zawodził, tulił martwy pień, widząc w nim ostatnią nadzieję na profit. Nagle zapragnął drzewo to zatrzymać, rozmnożyć, wyssać i używając siły swoich czarów, zmusić do pracy i uległości.

Kiedy w końcu powstał, okryty ludzkim truchłem, wymiętolony, śmierdzący i zdyszany, u nosa dyndały mu długie, podobne dwóm żółtym soplom smarki. Zamiast oderwać je od ciała swego, ciała królewskiego, i odrzucić precz, on przechylił głowę w tył, tak mocno, aż rozerwał się w szwach pięknie haftowany halsztuk, i jednym potężnym spazmem wciągnął oba smary na powrót w gardlane czeluście. Połknął je, pochłonął i zezarł.

Tutaj, w sprawozdaniach historyków następują pierwsze niezgodności. Bo czy to w smaku tych przesiąkniętych żywicą smarów odnalazł coś, co silniejsze okazało się od – nieodpartej jak dotąd – potrzeby powielania profitów, czy, być może dopiero później, na skutek przedłużającej się samotności, wyczerpania i głodu zupełnie mu odjębało?

Tego niestety nie wiadomo i nigdy już się nie dowiemy. Tym, co pozostaje natomiast bezspornym faktem – jako że dostępne nam są nagrania ze znajdujących się w dyliżansie kamer CCTV – jest niewyobrażalna mordęga, jakiej to dobrowolnie poddał się Pastorzał Rezowiecki.

Oglądając zarejestrowane przez kamery nagranie, zobaczyć możemy z zegarmistrzowską precyzją, jak włodarz wszechświata, wydobywając z ciała swojego siłę u człowieka niespotykaną – zapewne posiłkował się w tym celu czarami – własnymi delikatnymi rękoma o skórze miękkiej i wypielęgnowanej zawłócił martwe drzewo w pobliże dyliżansu i za pomocą powrozów konopnych przytroczył je do bagażnika.

Następnie, nie zważając na przeciwność losu, którą bezsprzecznie

musiała być dla niego śmierć woźnicy, wspiął się na zydeł, chwycił bat i sam poprowadził dylizans.

Wśród ujadającego wściekle huraganu, pośród chmur gradowych pędził dylizans, uwożąc ze sobą władzę całej znanej nam rzeczywistości i ostatnie, na wpół obumarłe drzewo we wszechświecie.



Gdy smagany uderzeniami kosmicznej wichury dylizans przebił się przez mgły, co tak naprawdę były po prostu mgławicami, i wyszedł na rozległą równinę martwych galaktyk, zgaszonych słońc i skutych lodem planet, oczom Pastorała ukazał się cud.

Otóż, gdzieś na dalekim widnokregu, mającąc niewyraźnie, wstydliwie nieomal, wyłonił się, rozkwitając światłem i emanując odwieczną energią Życia, kształt dziwny, na poły rozmazany, lecz zarazem wyraźny, mocny. Promieniował miłością i zapraszał do siebie wszystkich podróżnych – bogatych i biednych, szczęśliwych i rozpaczłą ogarniętych, gdyż energia jego życiodajna nie wartościowała w swojej duszy i nie czyniła rozróżnienia.

Jak wielki, niemożliwy do wyobrażenia organizm, zespolony miliardami tajemnych połączeń i rozumny ponad wszelkie ludzkie wyobrażenie, obdarowywał, rozrzucał dookoła klejnoty cenniejsze niżli diamenty.

Aż wpeł się złożył Rezowiecki od tego blasku, po oczach mu pojechało energią życiodajną i od razu go od tego zemdlilo. Kaszleć rozpoczął i cherlać, popluwać niezdrową flegmą i sapał jak dychawicznik.

Pośród morza śmierci dostrzegł małą wyspę, co cudem jakimś umknąć zdołała spod śmiertcionośnego noża Szachmata. Być może był to feler, być może zrządzenie losu, a być może boża interwencja, gdyż na tej właśnie wyspie narodził się kiedyś Pastorał Rezowiecki.

To tutaj wręczono mu na złotej tacy pieczęcie Głodnowątrobiane oraz sztandary, godła i pierścienie rodowe Broczyckich. Tutaj moce Majcherów i Patroszyńskich do życia go przyniosły z najdalszych zaświatów i tutaj krew Rezowiecka, z much czarnych się składająca, popłynęła pierwszy raz poprzez zimne żyły.

Spoglądał spode łba na rozkwitający klaster galaktyk, po części z nienawiścią nieprzebraną, a po części z nadzieją, wytchnieniem prawie. Tam, na horyzoncie przeznaczenia pojawiła się ona, przez człowieka nazwana Drogą Mleczną.

Wzdrygnął się na ciełe całym i obleciał go dreszcz zimny, potem zraszając czoło. Piekielne siły kotłowały się w duszy, broniąc się

przed tym, co nieuniknione, z góry przeznaczone, mające się dopełnić. Przeklęte moce, które niegdyś do życia go powołały, a nawet uczyniły władcą wszystkiego, co żywe, teraz Życie przeklinały, bały się go – zatrwożone i zaszczute w róg własnej niemocy.

Rozrywany myślami najczarniejszymi, przerażeniem i niepokojem mdłym, niedobrym oraz przynoszącym lękawy trwożne, ujął cugle w garść, po czym szarpnął z całych sił i konie w miejscu zatrzymał. Być może znany jest co poniektórym fakt o tym, jak prędiutko ciemne myśli we łbie potrafią się zalęgnać. Jedną przez nieuwagę wpuścić pod czerep, a zaraz się rozmnoży niczym robaki na zgniłym mięsie.



Cisza dookoła zapadła, że nic oprócz parskania zziębniętych koni nie dało się usłyszeć. Ciemno i zimno, lodem skute wszystko w wymarłych galaktykach, które Szachmat nie tak dawno odwiedził i albo zamordował, albo zmroził tak, że era lodowcowa to przy tym wakacje na Bahamach.

W momentach podobnych temu, kiedy moce szkodliwe, niepożyteczne i chaos do umysłu wprowadzające zasnuwają nam rozum cumulusami rozpacz, ciężko odnaleźć światło w duszy. Chwile takie opadają szybko, błyskawicznie, niczym ciężka, zakurzona kotara. Przepalają się żarówki i momentalnie znajdujemy się w ciemnej piwnicy najstraszniejszych wyobrażeń. Są to wyobrażenia o wszystkim: o wymyślonych wrogach, nieistniejącej przyszłości, własnych słabościach, traumach z dzieciństwa. Odzywają się głosy w czasie – głosy nam nieprzychylne – i przywołują cierpienie, sprowadzają noc duszy.

Pastorał Rezowiecki nigdy nie miał złych nastrojów. Niczym się nie martwił, sypiał doskonale snem głębokim i sprawiedliwym. Jego zadaniem było lęk przynosić, cierpienie i terror rozsiewać po ziemi urodzajnej, a w umysłach maluczkich orać pługiem przerażenia. Od urodzenia znał swoją rolę i doskonale ją wypełniał. Dana mu była władza absolutna: rzecz, którą nam, szarym zjadaczom kartofli, trudno jest sobie wyobrazić, gdyż nie posiadamy ku temu wystarczającej ilości szarych komórek. Pozwolono nam jedynie wyobrazić sobie rzeczy zdecydowanie mniejsze, nie tak ważne, a uczyniono tak dla naszego dobra, żeby nam się nie rzuciło na mózg, żeby nam nie zaszkodziło.

Bo jak byśmy mogli wyobrazić sobie choćby jeden dzień z życia Pastorała Rezowieckiego? Spróbujmy. Siedzi on na tronie z ostatniego lodowca, głosem dźwięcznym i przeraźliwym przywołuje grad, burze i wściekłe ulewy. Pod tronem walają się szkielety tych wszystkich, których pozabijał na ziemi, morzu i w powietrzu. Na tle szarego nieba szybują sępy i kruki, a słońce, zatrwożone, skrywa swą twarz za gęstwą chmur.

Z jego polecenia wznosi się więzienia i obozy koncentracyjne. Słowo jedno wystarcza, by spowodować zamęt i głód, rzezie i wojny, okrucieństwa i pożogę. Do szaleństwa doprowadza nas myśl natrętna, mętne przeczucie o tym, że jeden jedyny, z ludzkiego plemienia zrodzony, odpowiedzialny jest za utrzymanie morderczej maszyny w doskonałej formie – dobrze naoliwionej, niezawodnej.



Wola Rezowiecka to wola wiecznej zimy i mrozu, miejsce, gdzie nigdy nie ma prawa pojawić się wiosna.

Jeszcze straszniejszą myślą była ta, że to my, własnowolnie, oddaliśmy mu we władanie swoje demony. On je tylko umiejętnie zaprzął, ustawił w szeregu, pozwolił im urosnąć do rozmiarów niebo-



tycznych. Bo z nikczemnością i namiętnościami już tak jest, że choć rodzą się malusie i bezbronne, to przez poświęcenie im należytej uwagi rozrastają się, stają się większe od nas.

I zamiast cnoty w życiu szukać, szukamy wpierw wygody, a kiedy i ona nie potrafi nas nasycić, to zerkamy dalej, w chmury solidnego popierdolenia zaglądamy, jakby to właśnie w nich, być może, znajdowało się coś wartego odkrycia.

Zanurzając się w chmury popierdolenia, bujając w obłokach perwersji i ekscesu – na początku zwłaszcza – jesteśmy zachwyceni. Wydaje nam się, że przezwycięzamy samych siebie, że poszerzamy horyzonty poznania. Ale jedyne, co robimy, to zanurzamy się coraz głębiej w otchłań bez dna, grzęźniemy w bagnie zniekształconych nadziei. Nad wszystkim siedzi mistrz marionetek, władca wszystkich rzeczywistości, i umiejętnie, delikatnymi ruchami rąk, pociąga za odpowiednie sznurki.

Siedział teraz mistrz marionetek pośrodku lodowatej ciszy, w umarłym wszechświecie i zastanawiał się nad tym, za jaki pociągnąć sznurek. Zew mocy pradawnych, tych, co Życie, sławę i władzę mu oddały, grzmiał w duszy dźwiękami bębnów i trąb, wzywał swego syna do wypełnienia woli silnych.

Budziły się w nim instynkty złowieszcze, otwierały się szeroko oczy jaszczurze. Tylko w szatańskich rytuałach, przelanej krwi niewinnej, tylko w rzezi, posoką ociekającej jatce – wypełnić się mogły stare proroctwa. Bo czymże był przede wszystkim nasz Pastoraf i król, jak nie rzeźnikiem, złym pasterzem? Wilcy umknąć być może jeszcze przed nim by zdołali, ale owce nie dadzą rady.

Rozglądał się Rezowiecki, wzrokiem podłym, wyrachowanym mierząc przestrzeń wkoło. Coś tam myślał, we łbie mu się kotłowało od rachunków różnorakich, dla nas, śmiertelników zwykłych, niezrozumiałych. Liczył, dodawał, ujmował, porównywał, aż zdołał dojść najwyraźniej do jakichś wniosków, gdyż podniósł głowę,

zacerpnął w nozdrza martwego, lodowatego powietrza, po czym gwizdnął preraźliwie a donośnie tak, że aż się popiół z drogi uniósł. Popluł w ręce, chwycił bat i tak koniom po zadach tego włożył, że zaraz się galopem puściły w kierunku białej, zapraszającej, pełnej miłości łuny. W stronę Drogi Mlecznej rzuciły się w te pędy, a siłę miały w sobie niesłychaną.



I na próżno, pośród łez wypłakanych i krwi przelanej, szukała Droga Mleczna wybawienia – bo choć Szachmat ją ominął, to już zmierzał w jej kierunku okrucieństwa mistrz, by rezać, szlachtować, ćwiartować i w ogniu na popiół przemieniać.

Czerniło się niebo od much, co nadlatywały miriadami i wszędy posłyszeć się dało ich wściekłe brzęczenie, które – niby wirujące na wietrze żyłki, zapowiadały coś strasznego, czego porównać nie dało się z niczym, nawet z Hiszpańską Inkwizycją.

Co tchórzliwsi, przeczuwając, co się święci, kopali głębokie rowy, mogiły zbiorowe i sami się kazali w nich żywcem zakopywać. Umierali z braku tlenu – uduszeni, lecz z pełnym brzuchem, obciążeni dzidzownicami i kamieniami. Jakże wielkie musiało być ich przerażenie, skoro mimo wrodzonego tchórzostwa woleli zdychać w agonii, niżli muchy Rezwowieckie z bliska oglądać?

Historycy później udowodnili bez najmniejszej wątpliwości, że zachowanie to spowodowane było nie – jak to wcześniej błędnie ustalono – tchórzostwem, lecz przeciwnie – ogromną wiarą w zmartwychwstanie i, co za tym idzie – w życie wieczne w raju.

We wszystkich galaktykach odnotowano wtedy pątników, pielgrzymów, biczowników i szaleńców, ściągających tabunami na rynki, place, wrzosowiska i cmentarze, tnących gościńcami i autostradami jak zaraza, co rozwierca pomału zdrowe na pozór ciało. Niektórzy z nich kulawi, inni garbaci, ale większość silna jeszcze i w kwiecie wieku, chociaż dziwnie pochyleni, powyginani, jakby przytłoczyła ich potęga jakiejś niewidzialnej ręki, ręki mocarnej, sprawiedliwej. Wierzyli, że zanim w ogniu stanie świat cały, zanim zadną trąby na apokalipsę, a czarne muchy pochłoną i słońce, i niebo, to choć na chwilę krótką skończy się ich odwieczne poniżenie.

Kogóż zatem wypada bać się bardziej? Mordercy zwinnego jak kot dziki, ochoczego do krwi rozlewania, w zabójstwie znajdującego rozkosz, czy cwaniaka szczwanego, wolącego cudzą ręką śmierć przynosić i trupy ukradkiem zjadać niczym hiena cmentarna? Obaj przecież życie w końcu nam zabiorą i w dodatku na zawsze, gdyż życie wieczne nie sprawdziło się i zostało wycofane z obiegu.

Ten pierwszy to król wszechświata, księżę Broczyckich i Patroszyński pasterz. Za nim muchy tornado, plagi i rozbój kroczą – jak cień, wiernie i po cichu. Oczy jaszczurze ślipią beznamiętnie, on zabijać się nie wstydy, to powołanie jego i misja krwiożercza.



Drugi to mącieliel Rezowieckiego porządku. Pojawił się nie wiadomo skąd, jątrzy niestłuchanie, krąży wokół gniazda światowej hegemonii i pisklaki z niego wykradać próbuje.



## **Ballada o Staszku Ciulu**

Władzy przy urodzeniu nie posmakował, nie wyciągnięto go z macicy wprost na świeżo wykrochmalone pieluchy z prawdziwego lnu. Żeby on, bidula, len w życiu choć raz jeden uwiłdzał! Nic z tych rzeczy. Ani lnu, ani anilany, ani nawet bawełny nie znał, a już w szczególności macicy, gdyż z próbówki na robotniczym połoźniczym

wydobył go dłonią silną, odzianą w gumową rękawiczkę, starszy probótkowy Staszek Ciul, na czwartej zmianie.

Z próbki wyjął przyszłego Samodzierzę, Oświeceńca i Opeńca. Wawrzyńca Szpadla w rękach swoich trzymał.



Na początku, chciał niemowlaka od razu do śmietnika wyrzucić – mały był jakiś, pokurczony, siny na buzi i znaku życia żadnego nie dawał. „Płuca pewno się zatkały albo znowuż zapomniały wyrównać” pomyślał i zasmucił się Stasiu.

Niestety, sytuacje takie zdarzały się nagminnie i średnio jedna szóstka noworodków trafiała na białkowy przemiał. Trudno wszakże się

dziwić. Aparatura z zeszłej epoki, nie było komu remontować, bo to i Zakład Porodny nie chciał dopłacać z własnego budżetu, i państwo nie raczyło pokrywać kosztów eksploatacji.

Ledwo Staszek Ciul u kierownika zmiany wyzebrał, żeby w zeszłym roku przegląd zrobić. Mechanik powiedział wtedy, że „ustrojstwo zardzewiało i przegniło na okuciach, i że prędzej czy później wyjebie kliny pod przesłem, a wtedy jak te wszystkie płody jebną przez rurę spustową do studzienki, to może zatrząść całą konstrukcją budynku, a nawet podłogi do czwartego piętra w górę zedrzeć”.

Staszek zresztą, przy wódce, wieczorkiem, w zaciszu zakładowej świetlicy, opowiadał z wypiekami na przekrwionej alkoholem twarzy, że „lepiej się dzieje, iż probownice nie pracują, jak się należy i często się zacinają, gdyż zawsze to dodatkowe pieniądze na boku można z tego tematu wyciągnąć” – Stasiu parał się różnorakimi szwindlami oraz spekulował niemowlakami na czarnym rynku.

Noc wtenczas, na czwartej zmianie na robotniczym położniczym, kiedy Wawrzyniec Szpadel się narodził, była zimna i wilgotna. Wiał wiatr północny, taki, co to tylko złe wiadomości przynosi i nie należy go słuchać. Na oddziale piździło okrutnie, gdyż węgla nie dowieźli, a nawet jak by, to i tak chuj, bo piec się zatkał w zeszły wtorek.

„Toż to nie dziwota, że piec zapchany, jak spalali bez pomysłu tyle płodów naraz. Pewno tłuszcz nawłaził w szpary i zamiast się do końca zhajcować, to wszystko w pizdu zaklajstrował” – Stasiak chodził od początku szychty podkurwiony, bo mu stara dała nogę i uciekła z pewnym porucznikiem.

Rachu-ciachu walizki spakowała, po kryjomu, kiedy Stasiak spał zarzygany na tapczanie w gościnnym, i jeszcze na koniec, na pożegnanie, jak na złość, na Stacha uwzięła się i nasikała. Właziła na oparcie wersalki, stanęła okrakiem i spuściła z kurka prosto w rozwarłe gardło – coś tam miał Stachu z przegrodą w nosie nie halo i przez japę musiał dyszeć w nocy. Na szczęście dla małżonki Stasiu

wszystko przełknął, na śpiocha, i tylko mu chrapanie się na chwilę zakrzusowało. Rano dopiero się dowiedział, jak mu chłopaki w szatni pokazali nagranie. Miało już podobno sześćset tysięcy oglądnięć.

Stasiek Ciul nie spodziewał się, nie mógł się spodziewać, roli, która została mu przydzielona przez Boga, Przeznaczenie i Przypadek. Życie, śmierć i ich wszystkie tajemnice powierzone ludzkiemu trzeciej kategorii, ulepionemu z białkowej, a pochodzącej z odzysku masy. Takiego właśnie Kraj Narodowy go wyprodukował, kierując się potrzebą chwili.

Stachu był rośły, przysadzisty, w zasadzie nie miał szyi. Jego zdecydowanie za duża, przypominająca nadmuchany pęcherz głowa, zupełnie łysa, pomarszczona i pokryta bruzdami oraz upstrzona brodawkami, spogłądała kaprawo spod krzaczastych brwi.

Cielsko nalane tłuszczem, lecz silne. Pod grubą warstwą słoniny skrywały się mięśnie, co było szczególnie widoczne, kiedy się poruszał, gdyż nie nosił ani koszuli, ani nawet podkoszulka. Z przodu, przyklepione do białej, śliskiej od potu, umorusanej smarem skóry, podobne dwóm płaskim ordero-wymionom, zwieszały się potężne cyce, a pod nimi w pełnej, nieposkromionej chwale wyrastał dość duży w rozmiarach bańdzioch. Składał się on jakby z trzech warstw, z trzech fałd, z trzech zasłon obżarstwa. Najdłuższa, najobszerniejsza, znajdująca się na spodzie fałda sięgała aż za krocze i falowała groźnie przy każdym, najmniejszym nawet ruchu.

Portki miał stare, poszarpane, gdziegdzie połatane, ale w większości podziurawione, czarne w kolorze – pewnie od brudu. Śliskie. Za ciasne w pośladkach. Nie nosił obuwia ani skarpet, stopy miał zupełnie bosc. Duże, za duże, nieproporcjonalne, groteskowe, o ogromnych paluchach, co niczym szerniałe parówki wyrastały ze śródstopia.

Paznokcie u stóp nosił długie, zakręcone, zrogowaciałe, połamane. Okręcały się wokół paluchów jak miniaturowe węgorze. Łapska miał



ogromne, jak rakiety do tenisa, wszystkie palce zrosnięte ze sobą, przypominały dwie łopaty do wyciągania pieczywa z pieca. Mogły jednak się zginać i oferowały właścicielowi pewną swobodę ruchu, zapewniały chwytność.



Stasiek Ciul ścisnął mocno, ułapiwszy się malusich nóżek, wpijając się w delikatne ciało, rozgniatając je swoją niezwykle silną, zwartą, bezpalczystą grabą jak wielkim imadłem. Przyglądał się Wawrzyńcowi Szpadłowi, który to zagrozić miał w niedalekiej przyszłości władzy prawomocnej nad całym wszechświatem. Władzy Rezowieckiej miał przynieść kłopoty i to nie byle jakie.

Potrząchał wściekle tym bezbronnym przecież, kruchym z wyglądu niemowlakiem i próbował wykrztusić z niego pierwszy oddech, lecz pomimo usilnych starań nijak nie mógł tego dokonać. Niemowlak nie dyszał, nie smarkał, nie parskął, nie płakał, był więc – wedle procedur technicznych – przeznaczony na zmielenie. Zamiast więc taśmą transportową powędrować do inkubatorni, wpadł wprost w zimne mięso swoich próbowkowych braci i sióstr. Rozpęd, z jakim tego dokonał, niczym pikująca w morze rybitwa, wślizgnął go natychmiast, główką do dołu, w otchłań martwych płodów, na samo dno kubła.

Stasiek Ciul był postacią ze wszech miar prawidłową. Nie rzucał się, nie miotał z jednego postanowienia w drugie, nigdy nie mogąc w niczym wytrwać. Bo przypadłością ludzką jest to, że nie potrafiąc odnaleźć swego powołania, próbujemy po trochu wszystkiego, jednak ogień nasz słomianym się zowie.

Nie dziwi więc nic, że większość pośród ludzkiego plemienia prezentuje kondycję rozdrażnioną, umęczoną, steraną życiem i wiecznie utyskującą, niezadowoloną. Ludzie tacy, nie potrafiąc w niczym wytrwać, przypominają chorego, który szukając choć odrobiny wygody, próbuje ją znaleźć, przewracając się ciągle, raz za razem, z jednego boku na drugi.

Stasiek Ciul okazywał się być antytezą wyżej opisanych zachowań – stabilny życiowo, przewidywalny w działaniach, niezwykle sumienny i niezbyt skomplikowany umysłowo. Spał w chłodzie, w barłogu słomiano-drucianym, w murowanej oficynie, mieszczącej się w południowej części kompleksu rodnego.

Oficynę wzniesiono dwadzieścia lat temu, a zamieszkać w niej miała woźna; ta jednak stanowczo odmówiła, skarżąc się na koszmarnie warunki, chłód, brak prądu i wody oraz przeraźliwy smród – obok oficyny mieściło się miejskie szambo.



Dyrekcja była oburzona reakcją woźnej, którą to natychmiast pozbawiono praw obywatelskich. Nie pomogło to jej w niczym, a jedynie zaszkodziło, bo żadnej już roboty za życia nie znalazła, zamieszkała w kanale, a po trzech miesiącach, jednego wyjątkowo mroźnego października, znaleziono ją zamarznąłą na kość.

Koniec końców los zadrwił z niej szyderczo, gdyż dowiedziawszy się o tym nieszczęśliwym wydarzeniu, dyrekcja kazała przywieźć jej truchło z powrotem na rodny oddział, a następnie, przy dźwiękach trąb i werbli orkiestry zakładowej, utopić w miejskim szambie, tuż obok niesławnej oficyny.

No, ale wracając do sprawy Stasia Ciula... Śmierć woźnej okazała się dla Staszka najlepszym, co go w życiu spotkało. Z robotniczego obozu, gdzie w norach chlewnych wegetowało siedemnastu chłopów na jednym wyrze, gdzie na stu robotników przypadała jedna miednica i pół kostki szarego mydła na tydzień, gdzie wszy, karaluchy i szcury, gdzie cuchnący oddech, pierd ciężki, gdzie pot kwaśny sączył się z zaropiałych pach, trafił do własnej willi, którą dla niego okazała się być wzgardzona przez woźną oficyna.

Jeżeli pogodą ducha mierzyć by nam przyszło szczęście ludzkie, to Staszek Ciul stanąłby na piedestale Radości. Bo na cóż innego zda się nam bogactwo i włości, jeżeli nie potrafimy się cieszyć życiem i przed samym sobą bezustannie uciekamy? Z jednych wakacji na drugie, z gór nad morze, z miasta na wieś, z ciszy w zgielk i jak prędko byśmy nie biegli, to uciec nie zdołamy. Przyczyny naszego cierpienia nie należy zatem szukać w czynnikach zewnętrznych, tylko w nas samych.

I Stasiu Ciul, nie zdając sobie najprawdopodobniej z tego sprawy, właśnie tak postępował. Szczęście jego mieszkało w nim, a wszystko, co miał, zawsze nosił ze sobą.

Stasiu Ciul był ukontentowany. Lubił swoje ciało, kochał swój śmierdzący głównem dom bez szyb w oknach i uwielbieniem darzył swoją pracę – od trzeciej rano do jedenastej trzydzięci wieczorem się odbywającą. Czuł do roboty swojej powołanie, zew krwi. Uśmiechnięta zawsze była jego bezzębna gęba – od panującego na oddziale porodnym szkorbutu wdał się stan zapalny i trzeba było rwać zębiska obcęgami. Ale na to też nie narzekał nasz Stasiu, przyjmując cierpienia zesłane mu przez los ze spokojem, bez emocji zbędnych.

To właśnie dzięki Staszka szlachetności mały Wawrzyniec życie zachować zdołał, zamiast skończyć zaduszony w kłębowisku martwych niemowlaków. Staszkowa sumienność nakazała albowiem usłyszeć dochodzące z głębin kubła jak gdyby kaszlnięcie, jak gdyby jęk. Wbił więc zaraz łapsko swoje w niemowlącą masę i wyszarpnął Wawrzyńczyka ze szponów pewnej śmierci.

Wniosek w tym momencie dopada nas zgoła straszliwy. Jakże to? Bez zgrabnej pomocy Staszka Ciula nie byłoby Wawrzyńca Szpadła Samodzierzcy? Nie byłoby ani Oświeceńca, ani Opętańca? Dzieje całego wszechświata potoczyłyby się zupełnie inaczej? Być może, a nawet na pewno, my byśmy się nigdy nie narodzili. Ba! Co tam my – proch jeno marny, więcej nic!

Najstraszliwsza myśl bowiem lęgnie się już pod czaszką, myśl przeraźliwa, lodem mroząc krew w żyłach, dech zatrzymując, wywołując mdłości: „żadnej noweli by autor nie popełnił”! Jakaż to dopiero strata niewysłowna dla pokoleń całych by była! Strata sroga, bezlitosna, ograbiająca potomność z zasłużonej jej spuścizny.

A co się tyczy Stacha Ciula i jego zasługi, to zapewne i pomnik by mu się za honorowe zachowanie należał, lub choćby popiersie z miedzi odlane, w książkach do historii wzmianka drobna, i renta w charakterze czterystu tysięcy cebulionów rocznie, dożywotnia.

Być może nie musiałyby wtedy do śmierci tyrać na robotniczym położniczym za miskę kaszy z cyną i spać w przeciagu, wciągać w nozdrza szambiane wyziewy? Może i lepsze się życie Stachowi należało, ale niesprawiedliwość straszna, na krzywdę ludzką obojętność, bezwzględne prawo silnego inaczej chciało.

Niewielu z żyjących wie o tym, że jak tylko Wawrzyńiec koronę na skroniach poczuł, kiedy z parcha zwykłego przedzierzgnął się w Samodzierzcę, to zaraz posłał na robotniczy położniczy oddział bezpieki zbrojnej i w powietrze go wysadził. Nie trzeba było czekać, żeby „kliny pod przęsem wyjechało”, jak to prorokował mechanik, gdyż cały budynek poszedł w gruz i nic się z niego nie ostało.



Stasia Ciula z kolei, dla pewności zupełnej, kazał Wawrzyniec zaciukać bagnetami i zmielić, a później usmażyć z tej zmieleniny kotlety, które zjadł razem z Waldkiem Sprzęgło, swym ówczesnym zastępcą. Taki to już często los świętych, proroków i mesjaszy spotyka, że żywot ich starości nie uświadcza.

## O Życiu

Życie. Czym jest ono? Nie przestajemy o to przecież zapytywać. I choć z biegiem czasu wydajemy się wiedzieć więcej, to czy tak naprawdę potrafimy nasze życie zrozumieć? Przyglądamy się swemu ciału, jak zmienia się na przestrzeni lat, jak na naszych oczach prze-

mija. Widzimy wyraźnie tę tymczasowość, tę chwilę krótką, której długości nawet nie znamy. Jedyne, co wiemy, to to, że zostaliśmy skazani na śmierć. Kat może zjawić się w dzień lub w nocy, nie będzie nam dane zapalić ostatniego papierosa. W jakiś sposób jednak staramy się o tym nie myśleć, odpychamy śmierć na dalszy plan, jak gdyby nie była znowu aż tak ważna. A przecież prąd przestanie płynąć i obumrą szare komórki. Ktoś tam podejmie decyzje w sprawie pochówku i zakopią nas grabarze.

Nie jest czynnością powszechną, zajęciem uważanym za normalne wyobrażać sobie, jak będą nasz grób kopać. Własny, wąski, głęboki. Ziemia zimna i twarda, mokra i gęsta, kamieniami wysadzana jak orzechami ciasto. Dwóch grabarzy, lekko wciętych, nieogolonych, w łapskach zmarzniętych trzony łopat dżierzy i ciska glebę, sztychami wyrżniętą, na wielką kupę.



Bluzgają przy tym siarczyście i w dół co raz popluwają, flegmę nikotynową odcharkując. Zziajani, spoceni na czole i pod pachami, w filcowych kaloszach i ciepłych kufajkach, berety na głowach przekrzywione. Kończą robotę trochę wcześniej (chuj, tak już będzie, głębiej nie potrzeba, przecież nie ucieknie, pazurami się na wierzch nie wydrapie), bo właśnie zaczyna dżdżyć, drobne krople oblepiają czerstwe twarze, zmieniają kurz w szare mazgraje, zdobią gąbczaste nosy piegami słoty. Pod oczami wory pijackie, białka przekrwione, źrenice mętne, niewyraźne, nieostre.

Dłoń o czarnych paznokciach ciska na dno grobowe mokrego od śliny peta. Ognik żarzy się jeszcze dwie sekundy i przygasa, znika, zostaje tylko tytoniowy smród. Nasz to grób, nasza dziura, wiecznego odpoczynka prywatna kaplica. Ciemno jak w dupie, mijają lata, butwieją dechy: robacy, kornicy i krety ślepe – nasi jedyni goście.

Tam nas spuszcza na sznurach, na cmentarnych linach. Wkoło kilka osób zebranych, może łąza po policzku spłynie. Może dwie. Wiązanki kwietne o mdłym zapachu, co zgniją później, i znicze: wosk w słoikach bez zakrętek. Ich knoty kopcą, tańczą na wietrze cienkimi płomyczkami.

Zebrani postoją, popatrzą, grudy głebne o trumnę załomocą, śmiertelne tarabany. Łopaty ubiją mogiłę schludną, niewysoką, a zebrani odejdą, odjadą samochodami na stypę – wpierdalać kotlety i desery słodkie winem zapijać.

My zostaniemy, zapakowani w pudełko świąteczne, lakierem bezbarwnym pomalowane. Wystrojeni, obmyci, choć już podśmierdujący, pod krawatem, jakbyśmy nagle dostali robotę w korpo. Skóra na kościach rozpięta, żółtawa, niezdrowa, martwa.

Szczęki nam młotkiem tanatokosmetolog pogruchotał, bo się otwierały na oścież, rozwierały na zawiasach, strzykały trupią wydzieliną. Nieestetycznie wyglądało, strasznie, nieprzystojnie, taki trup z paszczą w niemym krzyku zastygnięty, więc młotkiem gumo-



wym przyjechać trzeba było dwa razy i się zęby zasklepiły, zamknęły się wrota odrazy.

Nikt nie patrzył, nikt się nie dowie, bo i po co. Szacunek dla zmarłych przede wszystkim. Szlauchem później się obmyje, obtoczy w wonnościach, przyczesze szczecinę zgrzebłem. Palce jak szpony wygięte wyłamie się ze stawów, podprostuje, powieki na klej do gałek ocznych się przyklei, żeby przypału żadnego nie było, aby rodzinie się złe wspomnienia w pamięci nie wyświetlały, żeby dzieci nie płakały, w traumę na resztę życia zawinięte niczym w całun.

Prosektorium, lodówki, korytarze. Tak będziemy podróżować na końcu. Niby do raju, do aniołów, ale przecież wiemy dobrze, że do grobu.



Gorzej jeszcze sprawa własnego w ziemi zakopania wygląda względem spotkań towarzyskich, bo to przecież ani na prywatkach o pogrzebie swoim prawić się nie godzi, ani na koktajlowych parkietach, brzękając kieliszkami i zjadając zgrabne przekąski.

Również na czyichś urodzinach – wśród balonów i świec tortowych, życia bieg odliczających, jak i na imprezach hucznych – gdzie wszyscy obżarci drażami, nałykani, porobieni, naszurani – o kostnicach i trumnach nie wypada opowiadać.

Nie należy również o śmierci swojej wspominać na pierwszej randce, czy na rozmowie o pracę tym bardziej.

Temat wiecznie niemodny, niepopularny, który sam siebie ocenował, usunął się z konwersacyjnego jadłospisu.

Ważny przecież precedens – pogrzeb i nieodłącznie z nim związana śmierć – a jednak omijany łukiem szerokim jak zarazy najgorszej siedlisko.

Stado zdąza nie tam, gdzie iść trzeba, ale dokąd wiedzie je pęd. Zgraja nie idzie za tym, co uznaje za dobre, właściwe, szlachetne, lecz pędzi ku własnemu końcowi, stacza się w przepaść otępienia.

Niegdyś człowiek miał bogów szczodrych, ale gniewnych. Czczył w nich własne cnoty, swoją radość na ich ramionach składał, był im wdzięczny za samego siebie. Życie ze Śmiercią razem tańczyło, trup na widoku leżał i nikt się go nie brzydził. Ale tak jak człowiek się w stado powoli zamieniał, tak i jego Bóg – bo jeden już tylko się ostał – zmizerniał i spotulniał, kazał umierać w szpitalach, a trupy chować w lodówkach.

## W Stronę Wieczności

Wawrzyniec Szpadel Samodzierzca Opętaniec i Życie, i Śmierć miał już za sobą. Teraz pozostała już tylko Wieczność. On pamięci nie ćwiczył na cudzych naukach: własną mądrość posiadał. Postawiony na szczycie wszechświata, nie obawiał się niczego. Pod nim ludzkość marna, nad nim jedynie Konieczność. Nikt mu nigdy grobu kopać nie będzie, wręcz przeciwnie: to Wawrzyniec całe Istnienie, wszystek Byt zakopie samym sobą. On – szpadlem grabarskim na cmentarzu ostatnim. On – dziejów finałem ciemnym.



Ze stali lśniącej wykute jego ciało, ozdobione brylantami, wygrawerowane w symbole magiczne, w symbole alchemiczne, w symbole

tylko jemu zrozumiałe. Na głowie kabuto z żużlu najszlachetniejszego, do którego produkcji wyssano z życia całą, niegdyś życiem tętniącą planetę tak doszczętnie, że tylko kurz pozostał na jej niedawnej orbicie. Rękawice bokserskie o napędzie atomowym – gdziekolwiek pięścią łupnął, tam Hiroszimy jak grzyby po deszczu wyrastały. Kozaki siedmiomilowe, ze skóry świńskiej szyte, na oczach okulary w drewnianych oprawkach, co mu Ray Ban wystrugał z jesionu.

Gdzie wzroku nie zwróci, tam w drgania niezdrowe wszechświat wpada i oczy odwraca zawstydzony. Wawrzyniec jest jak gwiazda, co obraca się po torze przeciwnym do ruchu kosmosu, postępuje na przekór powszechnemu mniemaniu, nie uznaje praw fizyki i nowe prawa ogłasza, nie da się zamknąć w ciasnych granicach nędzy umysłowej. Przed mądrością jego – ostateczną, wszechwiedną – umknąć nie da rady nikt, nawet Los. Bo zwyciężył był Los Wawrzyniec Szpadel Opętaniec i ręce mu odrąbał, ażeby spisać przyszłości nie mógł.

My, maluczcy, dzieciątka we mgle zagubione, drzwi zwykliśmy zamykać, polisy ubezpieczeniowe wykupywać, żeby tylko przed Losem się ochronić. Wawrzyniec natomiast inaczej postępował. Na oścież drzwi do jego domostwa otwarte, bez straży, bez psów warujących, gdyż Los nie odważyłby się tam wejść.

Wawrzyniec Opętaniec wymyślił sobie samego siebie i na nowo się stworzył. Poprzez szereg starodawnych rytuałów, których treści zaczerpnął ze swojego umysłu, doprowadził się do takiego stanu, że mógł w sobie pomieścić wszystko. Przeszłość, terażniejszość i jedyną prawdziwą przyszłość.

Na pohybel bogom starym, bogom lichym, bogom teraz martwym, gdyż nie odważyli się sięgnąć po wszystko. Wawrzyniec za to zgarnął całą pulę i nic już na stole nie zostało. Najedzony, dopełniony, rozpostarł swe ciało na nieboskłonie jutra.

Jak matka czuła, przygarniał do swej piersi dzieciątka, żyjątko, prosięta, stworzenia boże, twory ewolucji. Nie unicestwiał przecież

Życia. Nie kat, nie oprawca, lecz geniusz opętańczy, niezrozumiały dla nikogo poza nim samym. No, ale jakże dziwić się, skoro pisane tutaj jest o osobniku nie tyle wybitnym – gdyż tych zrodziła ziemia bez liku – co jedynym, najwyższym. Wszystko, co przed nim po kosmosie kuśtykało: nakręcane mumie, truchła i ćwierćludzie, to jedynie nawóz pod jego pola uprawne. Och, zasiane przeto one już dawno temu! Teraz żniw czas! Ziemiopłody z gruntów wyszarpywać i zajadać ze smaczkiem, rozsiąść się przy kominku i odpoczywać.

Życie przecież Wawrzyniec przeżył. I to niejedno. Wycierpiał, karmę złą rozpuścił, wyszlachetniał, oko jego przenikliwym się stało, twarz poważna, wargi wąską linią ściągnięte, czoło zmarszczone, jakby nigdy nie przestawał rozmyślać, filozofować. Ciężką pracą nad sobą i pomocą, którą okazał rodzajowi ludzkiemu, zasłużył sobie na to, aby człowieka już nigdy więcej nie musieć oglądać.



W spokoju, w ciszy Wawrzyniec Pielgrzym, ohotny wędrowiec, podąży przez wszechświat i pochłonie go, kawałek po kawałku, a gdy już nic się nie ostanie, usiądzie pośród pustki i zatonie w kontemplacji.

Cóż zatem z resztą? Cóż z Życiem? Cóż z człowiekiem, co jak dotąd nad wszechświatem wydawał się panować? Głupcze! Jeszcze nie pojął w swym pojęciu, że i ludzkość, i Życie całe zawierają się w Wawrzyńcu? Połknął on i pochłonął je i w sobie umiejscowił. Dlatego nie są one martwe, nie są truchłem, padliną, tylko nieśmiertelnymi się stały, na wieki zatopione w Wawrzyńcowych wnętrzościach.

Świadectwo to miłości bez granic przed oczyma naszymi się ujawnia, o tym, iż pustelnik, wędrowiec, istota nie tyle oświecona na sposób zwyczajny, co oświeceniem opętana, zgodziła się, w całej swojej wspaniałości, ponieść nas ze sobą ku Nieskończoności.

I wspinał się coraz wyżej Wawrzyniec Pustelnik, Wawrzyniec Pielgrzym, Szpadel Opętaniec, Ostatni Kanibal. On wojnę wypowiedział samemu sobie i przegrał, i zwyciężył, i sztandary Oświecenia zatknął na szczycie rzeczywistości.

Nic, tylko świeży lód na skale. Dookoła śnieg się skrzy w promieniach umierającego słońca. Chłód, bezruch i powietrza brak. I widzi oczyma wyobraźni Wawrzyniec, jak odważni poszukiwacze, jego poprzednicy, wypływali onegdaj na groźne morza, powierzając swe życie żaglom kapryśnym. Pijani zagadką i zachłyśnięci tym, czego jeszcze nie ma, co jedynie się przeczuwa, że jest, żeglowali poza widnokrąg Znanego. Wabieni śpiewem syren i fletni, zniknęli we mgle Nieprzewidzianego.

Odwaga jest bowiem, jak powiedział Filozof, najlepszym zabójcą.

Wawrzyniec rozwiązał wszystkie zagadki i wybrał żywot wieczny, lecz skromny. Jeszcze chwila, moment i blask słońca ludzkości zgaśnie, zniknie i ciemność gęsta jak smoła zaklei nam powieki.

Jest otóż i Wawrzyniec Pustelnik. Sięga ku świetlanej przepaści nieba, chwyta ostatnie słońce człowieka i kiepuje je jak peta, a na scenie teatru życia opada kurtyna.



## **Fatum w Dorożce**

Pastorał Rezowiecki był w doskonałej formie. Nigdy nie czuł się lepiej. Krew buzowała mu w żyłach, świeżo przetoczona, prosto z niemowlaków. Dopiero co urodzone, a już odessane wielką ssawą,

do ostatniej kropelki. Nawet nie zdążyły zapłakać, pierwszego odgłosu wydać, nie utulił ich nikt w ramionach, nie ukołysał, tylko wielka ssawa od razu im się w tętnice wpiła i życie zabrała, zanim jeszcze się zaczęło.

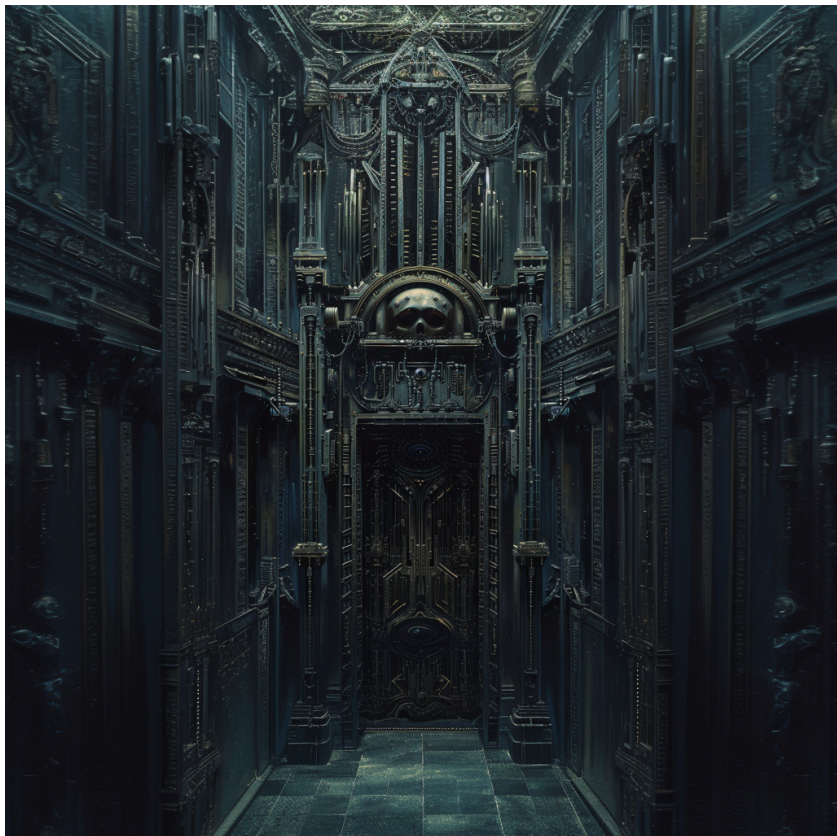


Lecz czy pośród nas nie spacerują i tacy, którzy umarli, zanim się urodzili? Nim żyć zaczęli, już żyć przestali? Życie im nie tyle uciążliwym się okazało, co zupełnie niepotrzebnym. Nietrudno wszakże ich dostrzec, jeżeli się tylko ku temu oczy odpowiednio szeroko otwarte posiada. Ci lekko stąpający, bojaźliwi, oddychają tylko dlatego, że wszyscy dookoła czynią podobnie.



Rezowiecki wycesał sobie z fryzury pajęczyny, napompował się najnowszymi sterydami, rozrósł się mięśniem z mięsa niezwykłego, mięsa ponad wszystkie inne mięsa. Promieniował, jaśniał niczym młoda gwiazda – taka rozkwitająca dopiero, o blasku pierwszym, bezwinna, szlachetna i nieśmiała. Figura jego lekka, ruchy tak szybkie, że aż niewidzialne dla wzroku do ruchów takich nieprzywykłego.

Namaszczony, wydmuchany powietrzem mroźnym, cuchnący potwornością, podążył w stronę zbrojowni. Zjechał windą Trzeciego Dostępu i ruszył wąskim korytarzem.



Pomimo zabezpieczeń mentalnych, wrota zakodowano osobistą szyfrową, musiał więc zionąć z paszczy osiem razy i zrzucić na czytniki skan swojej obecnej aury. Dopiero wtedy mógł przemorfować się do rozrzedzonych poziomów pałacu. Przeszedł Hamletowską Dolinę, później obszedł Gadzi Cypel i już był w zbrojowni.

Wybierał szybko, nie wahał się, co postronnemu obserwatorowi wydawać by się mogło dziwne, zważywszy na ogrom możliwości, rozmach i bogactwo panujących tu stylów.

Wbił się w zbroję dopasowaną, wyprodukowaną w Zmordownych Zakładach Zbrojeniowych, na specjalne zamówienie. Żeby tego dokonać, trzeba było zamknąć linie produkcyjne na szesnaście lat, co ostatecznie doprowadziło do bankructwa spółki. Materiały do produkcji zbroi uzyskano z mieszanek najszlachetniejszych pośród metali płynnych, pochodzących z Galaktyki Marduka. Występowały one jedynie tam, i to w dodatku w śladowych wręcz ilościach. Ażeby ich zebrać wystarczająco dużo, żeby starczyło na jedną zbroję, przedsiębiorstwo kopalniane Rezowiecki Unlimited & None zmuszone zostało zamknąć, a następnie unicestwić całą galaktykę.

Trochę Pastorałowi było szkoda i nawet zrobiło mu się wtedy przykro, gdyż to właśnie w Galaktyce Marduka najbardziej lubił spędzać czas na polowaniach międzyplanetarnych. Nic bardziej nie dodawało mu sił i wiary w siebie, wiary w to, że to, co robi, ma sens, niż poranna rzeź kilku populacji naraz.

Działania takie – jakkolwiek okrutne wydawać by się mogły dla ludzi zwykłych, śmiertelnych, podlegających prawu bata oraz podatnych na choroby cielesne i umysłowe – były przecież misją, powołaniem. Pastorał Rezowiecki wykonywał jedynie obowiązki. Skrupulatnie, metodycznie, z lekarską precyzją nanosił cięcia na zwyrodniałej tkance.

Także i takie, na pozór bezsensownie zepsute, niemoralne polowanie, podczas którego myśliwy przewyższa zwierzynę pod każdym

względem, i którego wynik jest z góry ustalony, z którego szansa, nadzieja i nawet łut szczęścia zostają usunięte, wbrew pozorom, jest potrzebne i w zasadzie dobre.



Bo tak jak zwykły myśliwy – podrzędny ludzki morderca zwierząt dzikich – zakrada się, w kupie z innymi mordercami, zachodzi od tyłu i mierzy ze sztucera, a następnie wkłada niespodziewającemu się ataku zwierzęciu kulę w łeb, tak i Rezowiecki z koleżkami wpadał zniemacka na śpiącą jeszcze planetę, pełną istot niewinnych, dopiero co z Życiem się zapoznających, pokojowo nastawionych, egzystujących w symbiozie z naturą, o twarzach szlachetnych i mordów, gwałtu ni rabunku nieznających.



Tym dziatkom uśmiechniętym, błogim w swej ignorancji, niczym dobry ojciec ofiarowywał owoc poznania dobra i zła. Dostarczał wiedzę potrzebną, niezbędną do tego, by zrozumieć niuanse i zawilości ludzkiej natury. Natury drapieżnej, natury ekspansywnej.

Zamyślił się Pastorał, wspominając Galaktykę Marduka i wspaniałe chwile, niezapomniane przygody, zapach palonych ciał, planety całe w ogniu gorejące, zieleń w szarość popiołów przemienioną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Głodził opuszkami palców delikatną w dotyku zbroję. Przebić jej ni zniszczyć nie dało się w ogóle, nawet nuklearnie, nawet przeklętymi laserami wychodzącymi z oczu gargulców, nawet śmiertelnym hokusem-pokusem ciskając podstępnie.



Zbroja otulała ciało całe, od stóp do głów, na twarzy maska z hadeskiego granitu, na stopach cizmy odrzutowe z silnikami nano, wprost z Fabryki Pieców i Dmuchaw w Zbereźnie Naprzemiennym, dłonie ukryte w rękawiczkach wełnianych, które osobiście na drutach zrobiła Pelagia Patroszyńska.

Przepasany pasem królewskim z klamrą żelazną, z którego zwieszał się puginał czerkaski oraz miecz bękarci, na serdecznym palcu lewej ręki tkwił pierścień Sześciu Światów Samsary.

Uniósł w górę triśula, który kiedyś osobiście wyrwał z martwej dłoni Śiwy i uczynił znak tajemny, po czym dał rozkaz belzebubim muchom, by przybyły i wyniosły go na wyżyny wyobraźni człowie-

czej, poprzez kolejne sefiry Drzewa Życia – wyżej i niżej, dalej i bliżej, przedzierając się przez Trzy Zastony, wchodząc w przestrzenie Absolutu i plugawiąc go tym samym, barwiąc pierwotne światło czarnym kałem zła.

Jak wielość rzek zatrutych, jak ulewny deszcz błota, jak wichur zarazę przynoszący, uniósł się Pastorał Rezowiecki, otulony w płaszcz belzebubich much, i zaczerpnął pełną garścią tej czystości świetlistej. Z gardła Nieskończonego Dobra wyszarpnął i zabrał ze sobą płomyczek swój własny, na prywatny użytek przeznaczony.

Ocean samsary burzył się pod nim, wirowały istnienia jednostkowe, nieświadome, w swej ignorancji pogrążone, przeciwności losu rzucały nimi bezlitośnie, boleśnie i okrutnie. Hrabia Broczyckich, Głodnowątrobiany Monarcha wchodził z powrotem w samsarę, dokładniej rzecz biorąc: w świat człowieczy, w sam jego środek, w Drogę Mleczną.

Zstąpił w miejsce, gdzie jeszcze niedawno jaśniała Galaktyka Andromedy i od razu zakrzusił się jej popiołami. Tyle z niej pozostało po wizycie Szachmata: kurz i martwe słońca. Przed chwilą jaśniała, w pięknie niedościgniona, pełna Życia w różnych formach, rozświetlona, podziwiana mogła być i wielbiona. Teraz natomiast w pustkowiu obrócona, w martwicę zamieniona, z Życia wypita, przybita do krzyża nicości.

Rozglądał się i kalkulował straty na szybko, szkicował w pamięciownikach, rachował na abakusach, prognozował, bilansował, podpisywał odpowiednie dokumenty. Zdenerwował się, zapalił skręta z węglikiem. Nie smakował mu, wyrzucił, chciał przydepnąć, nie było jak – wisiał przecież w próżni.

Sunąc nadświatlnie w stronę Drogi Mlecznej, rozmyślał trochę. Kierunek biegowi wydarzeń nadaje Fatum i to ono właśnie ustala rzeczywistość. Tak przynajmniej tłumaczył mu kiedyś ojciec, Rezoślaw Patroszyński. Dekretem przez Fatum napisanym człowiek może

się przeciwstawiać, ale wysiłek taki jest bezcelowy, gdyż wcześniej czy później każdy musi poddać się tej potędze.

Głaskał po główce małego Pastorałka, tłumacząc, że Fatum Patroszyńskie najsilniejsze jest pośród wszystkich fatum, i że nadejdzie taki czas, kiedy zniknąć rozpoczną galaktyki, a życie z nich uleci jak z przedziurawionej dętki powietrze. Wtedy zaś Fatum Patroszyńskie przyjmie formę ciała. Do ostatniego przyczółka Życia osobiście się uda z wizytą, by samo siebie dopełnić: chętnych poprowadzić, opornych powlec przemocą.



Jechało przez ciemną próżnię Fatum Patroszyńskie w dorożce nadświetlnej, determinizm w formie człowieczej, zamknięte koło wszechkonieczności. Potrzeba było wszakże Patroszyńskiemu Fatum

jakiejs drobnej przeciwności doświadczyć, gdyż – jak wiadomo – bez przeciwności człowiek jest jedynie nieszczęściem.

Prawdziwy wojownik tylko z silnym pragnie się mocować, silnemu stanąć naprzeciw, w szermierce się spróbować. Silnego pokonać, zmiażdżyć i flaki mu wypruć, a zarazem raz na zawsze, wszem i wobec porządek świata Rezowieckiego obwieścić. Bo dosyć już patałachów pod nogami, dość uzurpatorów! Niech się dzieje rzeźna wola, niech się wierni radują, niech ołtarze spływają posoką! Powraca przeto władca jedyny, władca prawy i sprawiedliwy.

Dorożka nadświatlna przecina Układ Słoneczny i rozpędem, zarzucając z lewa na prawo, pojazd wślizguje się w ziemską atmosferę i rozbłyska na porannym niebie, tuż nad kompleksem świątynnym Angkor.





Wszystko jest już przygotowane na przybycie Krwawego Pasterza. Kapłani rozwijają czerwone dywany – z mięsa świętego utkane, fontanny bryzgają ciepłą juchą, fletnie wyją, bębny huczą, na niebieskim niebie pioruny zakrzywiają koślawe pazury światła. Wszystkie narody i stada na twarze padają, bo koniec nadszedł państwa i koniec stadnych obyczajów.

Jedyna rzeczywistość tylko, najśłodsze poddaństwo wpełza powoli do mózgowi ostatnich wiernych. Niewielu ich się ostało, lecz nic to. Fatum Patroszyńskie przynosi rozwiązania na wszystkie problemy. Kochający ojciec podaruje swoim owieczkom braciszków i siostrzyczki, transporty opakowanych w żelazne kontenery matryc rozrodných już przybijają do portów, już za chwilę rozpocznie się ludzka produkcja. To, co w jarzmie konieczności się pocnie, rozkoszą się stanie w niedalekiej przyszłości.

Fatum Patroszyńskie serce ma dobre, choć surowe, gdyż dobry ojciec pragnie, aby potomstwo wyrosło na samodzielne, żeby jak najprędzej wkroczyło w dorosłość. Nie ma czasu na pieczyoty niepotrzebne, dzieciństwo przereklamowane.

Taka sama, niczym niezmacona, nienasycona chciwość cechowała Wawrzyńca i Pastorała. Kresu nieznaną żądza władzy nie poszukiwała wytchnienia ni odpoczynku. Bo co w żądzy zasięgu się znajdzie, zaraz zostaje przez nią wchłonięte, zeżarte, przemielone i wypłute w postaci bezgranicznego cierpienia.

Choćbyś spychaczami w przepaść żądy zrzucił tony diamentów i kruszców szlachetnych, choćbyś wlewał w nią trunki i paliwo wysokooktanowe, karmił jagnięciną oraz poił witaminizowaną oranżadą – nie napelnisz jej nigdy.

Cała przeto ludzka historia stanowi zapis działań poszczególnych, następujących po sobie jednostek, które charakteryzowała nienasycona chciwość. Jakąkolwiek książkę historyczną otworzysz na dowolnie wybranej stronie, znajdziesz tam zapewne kroniki wojenne.

Cesarz za cesarzem dla władzy, dla korony, dla tronu zarzynął braci i siostry własne, a obywateli swoich w stalowe zakuwał kolczugi i pędził przez pola, aby krew przelewali i zamieniali się w trupy. Bitwa za bitwą, tysiące żołnierzy zatłuczonych toporami, posiekanych mieczami, podziurawionych strzałami. Dla chwały cesarzy i królów życie swoje bezcenne oddawali. Nabuzowani szlachetnie brzmiącymi ideami, naćpani honorem, szli w bój dzielni wojownicy. Niektórzy zarżnięci od razu, inni konający wolno, z odrąbanymi rękoma, urwanymi nogami, twarzami zamienionymi w miazgę, do ludzi niepodobni.

Zamiast chwały otrzymywali zespół stresu pourazowego, depresję i nocne mary. Zwykle, traktujące o duperelach życia codziennego, a odbywające się na spotkaniach towarzyskich, konwersacje nie zaspokajały ich potrzeb. Nie mieli przyjaciół, umierali samotni, uzależnieni od opiatów i alkoholu.



I choć żołnierze wszyscy na obliczu ziemi całym skonać już zdążyli pospołu, choć niegdyś potężne i grozę siejące armie po zęby uzbrojone zakończyły działalność, to wciąż jeszcze dwóch cesarzy na tronach pozłaczanych zasiadało w pustych pałacach. Zachłanność bowiem ślepyimi ich uczyniła.

Zamknięci w swoich psychiatrycznych rzeczywistościach, odizolowani od świata i zatopieni w samotności, postradali resztki rozumu i uwierzyli w to, że aby wszechświat zawojować, nie potrzebują ku temu niczyjej pomocy. Rozkosz ma niestety to do siebie, że jest krótka i szybko przemija, a to, co nadchodzi po niej, nazywa się przesytem. Kto zatem chciwiej rozkosz ową chłonie, tym szybciej obraca ją w zwykłą blazę. Cała zmysłowość, dreszcz władzy i potęgi z nią związanej zrzuca z siebie piękne szaty i władza owa staje przed nami naga, wstrętna i szkaradna.

Jedyną prawdziwą rozkoszą godną człowieczeństwa mogłoby być więc jedynie – miast żądze rozbudzać, by płonęły niemożliwym do ugaszenia pożarem pragnienia – uwolnienie się od wewnętrznych zamąceń i zawilości, tych, które powstają za pośrednictwem rozdrażnionych ambicji, błędnych wyobrażeń, umysłowych halucynacji i innych słabości duszy. Na tym skromnym detalu zasadza się zasadnicza różnica pomiędzy głupcem a mędrce.

Głupiec, myśląc, że coś wie, podąża za mentalnym szumem w głowie, biorąc go za coś rzeczywistego. I choć zakres zniszczeń serwowanych przez większość ludzkich głupców – niczym nienawistna pajęczyna – rozpina się jedynie ponad osobami z ich najbliższego otoczenia, zmieniając im dom rodzinny w salę tortur, to zawsze, w jakiś niefortunny sposób, kilku wyjątkowo ambitnych narcystycznych psychopatów zdoła wspiąć się po drabinie społecznej hierarchii aż na sam jej szczyt. Pomyślny los podsycił ich chciwość, poprzez chciwość usidlił i zrzucił w nieposiadającą dna przepaść żądy.

Mędrzec zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń i zamiast gadatliwości wybiera zazwyczaj milczenie. Przenika go rozkosz trwała

i niezmaczona, niepodatna na przesyt, zbudowana na fundamencie silnym, niezależna od rzeczy niepewnych.

Cechuje go wolność od trosk i radość z tego, co jest. Mędrzec nie obawia się przyszłości i tego, co ona przyniesie, gdyż doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma na to wpływu.

Zamiast się niepotrzebnie rozpalać władzą, która – jak doskonale wiemy z kart historii – bywa zmienna, niewierna i nietrwała, nie pokłada nadziei w niczym, niczego nie pragnie i poprzestaje na swoim. Jego jest wszystko, bo wszystko jest w nim i nie polega on przeto na czynnikach od niego niezależnych.

Wawrzyniec Szpadel Opętaniec, choć z nizin społecznych pochodzący, smaku władzy absolutnej nie tylko skosztował był i uszczknął, ale obzał się nią do niemożliwości. Pomimo że przez chwilę krótką mądrości uświadczył, to tak jakoś rozpaczliwie i chmurnie życie jego się potoczyło, że z oświecenia wprost na wściekle wzburzone morze szaleńczych perwersji zabrała go kapuściana kłątwa. Widocznie nie dane mu było umrzeć jako mędrzec, gdyż mądrość została mu z serca wyrwana, a ręka Losu uczyniła go postacią tragiczną.

Pastorał Rezowiecki i głupota z nim związana prezentują się odmiennie. Inny to głupoty model, inny fason, inny krój. On przecież morza szaleńczych perwersji poszukiwać nie musiał. Narodził się niejako w samym oku cyklonu, pośrodku szeroko rozumianego ochujenia.

## **Ciała Niebieskie i Inne**

W domostwie znanego nam świata Pastorał i Wawrzyniec byli jak słońce i księżyc, które nieustannie zmieniając się w obowiązkach, wywierają dobroczynny wpływ na wszystko, co żyje, oddycha i raduje się istnieniem.



Słońce Rezowieckie obdarza nas światłem i ciepłem, niweluje niezdrową wilgoć, wysusza troski, rozpuszcza lód, a także sprawia, że potoki płyną z wielką siłą, niosąc ze sobą kamienie, wyrwane z korzeniami drzewa, zgniłe meble i plastikowe butelki.

Księżycowe Światło Wawrzyńcowe za to rozświetla mroki nocy, reguluje cykle oceanów i obdarza kobiety słodkim błogosławieństwem menstruacji.

Oba dobrodziejstwa, naprzemiennie, w głuchym milczeniu, o pomoc nieproszone, dzielą się z nami swoim blaskiem i chwałą. Bo one nie tylko wprawiającym w zdumienie pięknem cieszą oczy, ale jeszcze w rękach swoich łaskawych przynoszą nam światło i sens życia.

Wojna między tymi dwoma dobrodziejstwami byłaby niczym innym jak wojną bratobójczą, największym możliwym nieszczęściem dla ciebie, dla mnie, dla nas wszystkich.

Ile jeszcze innych księżyców na niebie rozgwieżdżonym, nocnym? Ile słońc tam jaśnieje? Być może lepsze one od tych naszych, bardziej prawe, bardziej jeszcze sprawiedliwe?



Tego typu pytania zadawać zwykli ludzie maluczcy, tkliwi filozofowie, drobnica rozsypana pomiędzy drapieżców. Na nic zda się mędrkowanie, bujanie w obłokach fantazji i domysłów. Przydzielono nam przecież z urzędu Słońce Rezowieckie i Księżycowe Światło Wawrzyńcowe, więc zamiast gadać po próżnym oraz spiskować po

cichu, w głowach knowania przeprowadzać podłe i o innych myśleć gwiazdach, to hołd i cześć winniśmy oddać bogom słusznym, naszym, lepszym.

My przecież ludzie ostatni. Przygarbieni, przygłusi, ludzie nowocześni. Od ślipienia w ekrany smartfonów w mózgzach nam skwierczy i syczy. My – zwieńczenie ewolucji, wisienka na torcie Życia – lecz zapomnieliśmy, jak oddychać. Odcięło prąd, wyjechało appsy, nadzedł wielki koniec. Złęknieni, pełzając – gdyż zanikły nam mięśnie i ścięgna – szukamy jakiejś nory, rozpadliny, ażeby skryć się przed tym, co właśnie nadchodzi.



Wschodzi Rezwieckie Słońce i na niebo się wkrada. Jego pierwszy promyczek przedziera się przez oddech nocy – niemrawo, leni-

wie, nieśpiesznie. Na cóż jemu śpieszyć się i po co? Naturalną kolejną rzeczą zwycięstwo jest mu przecież pisane odwiecznym prawem brzasków.

Rozjaśnia, widnieje na horyzoncie, jutrznia nowych możliwości. Jeszcze twarzy słonecznej dostrzec się nie da. Tylko poświata delikatna, różowiąca się agresywnymi pastelami luna, przedsmak skrzywienia umysłowego tak wyraźnego, tak gęstego, tak nieporównywalnego z niczym, co przedtem stworzone zostało, że ostatni ludzie nie wiedzą, jak na nią patrzeć.

Ich wzrok przecie na wpół ślepy, nieprzywykły do patrzenia. Nikt nie podpowiada, nie sugeruje, nie wyświetlają się żadne powiadomienia. Jest tylko blask Rezowieckiego Słońca, coraz silniejszy, rozrywający ostatnie podrygi nocy na strzępy.





Wschód to taki, moi drodzy, jakby nagle pierdolnęło sześćset tysięcy atomówek w jednym miejscu. To nie światelko w tunelu ni nadziei płomyczek. Nie „krużganek” oświaty ani pochodnia miłosierdzia. Nie blask latarni morskiej, nie kominek rodzinny w długą zimową noc rozpalony ku pocieszeniu dusz i rozgrzaniu ciał. Światło inne jakieś, strasznie blade, lecz mocne, rażące po oczach.

Rezowieckie Słońce, Patroszyńskie Fatum, finalna odsłona spektaklu Życia. Nadchodzi kat i rzeźnik, nadchodzi zbawiciel, wybawca od wszystkich cierpień. W jego umyśle szamota się geniusz. Jak kot w worku uwięziony, szuka wyjścia, drogi na zewnątrz prowadzącej, ujścia, eksplozji, opętańczej ejakulacji.

Pod czerepem u Pastorała kotłowało się ostro, wyło wściekle, szarżowało. Pastorał znajdował się bowiem na wirażu, a siła odśrodkowa zbliżała go nieubłaganie w stronę bandy. Nic to jednak dla takiego chwata jak Rezowiecki, co jeździć po bandzie nauczył się już w wieku przedszkolnym.

Przedszkole przecież dla małego Rezowieckiego zbudowano pierwszorzędne. Sam plac zabaw rozpościerał się na siedmiuset hektarach, a zawierał w sobie trzynaście słusznych rozmiarów ludzkich rzeźni, dwie torturobajecznie w stylu późnego rococo, osiem gotyckich dragerni zdalnie sterowanych, stadion kanibalożerny, cztery tory wyścigowe do okrutnego berka, prawdziwy trzepak do trzepania rówieśników na miazgę za pomocą turbotrzepaczek, dwieście złotych piaskownic do grzebania dzieci żywcem, żyletkowa zjeżdżalnia, karuzela straconych marzeń, karczma Pod Rozprutą Zdzirą, trzy klimatyczne kawiarenki samoobsługowe, nożownia u Wściekłego Zdzicha, wesoła strzelnica, gniewny lunapark, beczka śmiechu oraz wspianała, sześciopoziomowa sala gimnastyczna oferująca uprawianie wszelkich możliwych dyscyplin sportowych, ażeby utrzymać młodego Pastorała w doskonałej kondycji fizycznej. Mógł on tu ćwiczyć najprawdziwszego, nieudawanego zajoba, kręcić krwawe kiszki, wypruwać flaki, wyżerać płody na żywca, obdzierać kolegów ze skóry, a także pod okiem wybitnych specjalistów doskonalić się w śmiertelnej szermierce.

Powróćmy jednak z powrotem do Słońca Rezowieckiego, które właśnie zdołało przeżreć się przez horyzont i wpełzało powoli na sparaliżowane przerażeniem niebo. Poblądło ono wyraźnie, stuliło uszy po sobie, zamarło w bezruchu, przygasło i straciło cały animusz. Przyzwyczajone było do przyjaźnie nastawionych, radosnych i prostych w obsłudze słończek, z którymi koegzystowało w serdecznej komitywie. Nic więc dziwnego, że na widok słońca prezentującego się złowieszczo, a wręcz agresywnego, zmiękły mu kolana. Nie ma we



wszczęście albowiem nieba, które udźwignęłoby potęgę Słońca Rezowieckiego. Siła jego wynikała z nielegalnego dopingu, różnorodnych mikstur chemiczno-alechemicznych, proszków narkotycznych, czarnomagicznych sterydów i mongolskiego speeda. Blask ze Słoń-

ca Rezowieckiego pochodzący wspomagały siły pradawne, zrodzone w krainach nieznanymi człowiekowi nowoczesnemu. Dodawały Słońcu Rezowieckiemu otuchy oraz otaczały je opieką lepszą nawet niż system opieki zdrowotnej. Tak jak każdy wojownik, mistrzyni MMA, bokser wagi ciężkiej czy nabity twardym mięśniem zapaśnik w pewnym momencie swojego życia znajdują się u szczytu własnych możliwości, tak też i Słońce Rezowieckie podczas dzisiejszego wzejścia czuło w sobie taki zapas mocy, że jak by tylko z liścia lekko we wszechświat przyjechało, to by się zaraz ten wszechświat rozprysnął na drobniutkie kawałeczki.

Poruszające się dynamicznie, jak na sprężynkach, naładowane najwyższej jakości pierdolcem i nabuzowane wodą sodową z najodleglejszych galaktyk, dojeżdżało właśnie do zenitu, niczym święcący tryumf cesarz, zdobywca całego świata i władca każdego człowieka. Jedyną różnicą zasada się na tym, że Słońca Rezowieckiego nie oklaskują wierne tłumy, nikt nie wiwatuje, nie rozbrzmiewają salwy honorowe. Dzieje się tak dlatego, że człowieczeństwo jako takie w zasadzie już nie istnieje, gdyż zostało po prostu usunięte. Czy to poprzez nieumiejętne użytkowanie, nadmierną eksploatację oraz dosyć mocne dociskanie śruby, czy ewentualnie zarzynanie, ludzki ubój i inne pozbawiające życia metody.

Naprzeciw jaśniejącej kuli promieniującego unicestwiającym blaskiem Słońca Rezowieckiego nadciąga Opętańczy Księżyc. Nie wiadomo dokładnie, czy mu się po prostu popierdoliły godziny na zegarku, czy być może zasnął i nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, że przecież jest już dzień. Możliwym również jest to, że to Słońce Rezowieckie weszło za wcześnie. Nasztachało się prochów, pruszyw i innych wynalazków i z tego właśnie względu pędziło przez nieboskłon za szybko, za bardzo wściekle biegło. Chciało, najwyraźniej, wzejść i podzielić się ze światem swoim ciepłem i radością. Po cóż zwlekać z Nieuniknionym, opóźniać nadejście Patroszyńskiego Fatum? Czyż nie byłoby działaniem takie działaniem zbrodniczym?



Opętany Księżyc jednak wydawał się mieć na ten temat zupełnie inne zdanie. On zgasić pragnął Rezowieckie Słońce, zepchnąć je w gęstą ciemność. Jego to ciemność, jego własna duszność. Księżycowy Szpadel nie zwleka, nie czeka, nadejścia swego panowania nie odwleka. Od razu, jednym sprawnym sztosem wbija się w rozświetlone niebo i zaczyna kopać je jak grządki. Tam, gdzie sztych jego niebo rozcina i na ciemną stronę mocy przewleka, tam Patroszyńskie Fatum słabnie, niknie, a nawet zastanawiać się zaczyna i mieć wątpliwości. Dla nas, na wpół zdechniętych wymoczków, istot rozmienionych na drobne, przestraszonych i uwikłanych w szare zakamary codzienności, przejawianie wątpliwości jest jakoby naszym chlebem powszednim. W związku z tym niezwykle trudno jest nam zrozumieć, że są na świecie mocarze tak jebitnego kalibru, którzy to

żadnych wątpliwości nie doświadczają. Pewność siebie, buta, niezachwiana wiara we własną wielkość i nieomylność nijak się mają do zwykłych, ludzkich wątpliwości. Kiedy więc największy pośród człowieczeństwa, a w zasadzie tego człowieczeństwa zwińczenie, rozpoczyna zastanawiać się, a najpospolitsza wątpliwość pojawia się w jego głowie, moment taki niesie za sobą całe mrowie bardzo istotnych konsekwencji. Cóż to za konsekwencje, jak bardzo mogą być one istotne? Ano istotne są one nie lada.

Jeb, jeb – wchodzi Opętańczy Szpadel w miękką glebę niebną. Jeb, jeb – wyrzyna z niej grudy i na ciemną stronę mocy je przewleka.



# JEBŁO

## Koniec KSIĘGI SIÓDMEJ



© Oficyna Pożar 2024